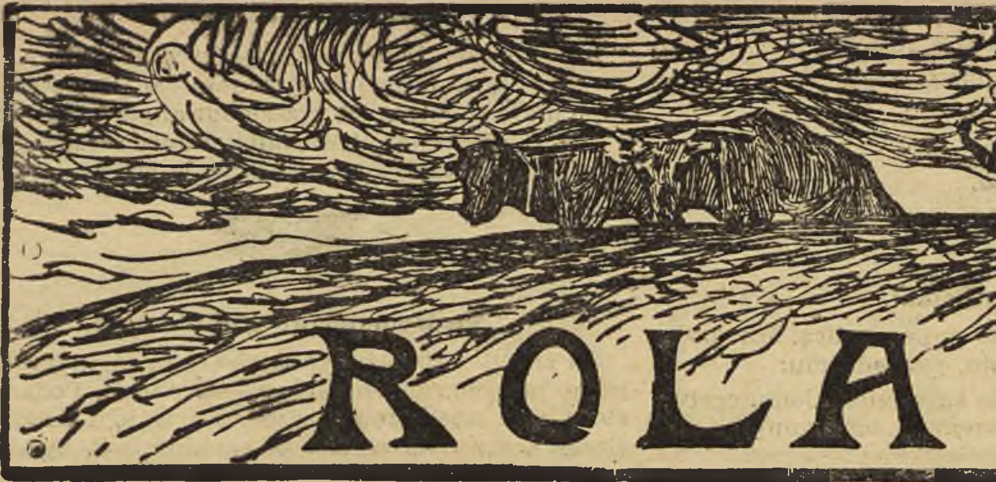
Numer 48. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 25 Listopada 1928**



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Sędzia: — A więc przyznajesz się pan, że kradnąc portfel, doznawałeś uczucia strachu?

— Tak! Bałem się, że... pusty.

Odważny policjant.

Jakiś pan idzie śpiesznie w nocy ulicą. Jest podniecony. Ujrzawszy policjanta, powiada mu:

— Panie sierżancie! Tam za węgłem domu czatuje dwu bandytów z rewolwerami; zatrzymują i obdzierają przechodniów.

— Bardzo dziękuję za ostrzeżenie! Właśnie miałem iść tamtędy.

— Klarciu! — Baron oświadczył się dziś o ciebie, ale musisz czekać aż Marysia wyjdzie zamąż. Jest to zasadą ojca, by wszystko szło... po kolei.

— Dziwna zasada? Wszakże im młodsze dzieci, tem wcześniej kładzie się je do łóżka.

Przy oświadczynach.

— Propozycja pańska zaszczyt nam przynosi, muszę atoli oświadczyć, że straciłem cały majątek i jestem biednym przez los prześladowanym człowiekiem.

— O, nieszczęsny! Musiałbym mieć serce z kamienia, pozbawiając pana jeszcze na dobitek... córki.

Międzynarodowe porozumienie.

Pewien fabrykant angielski został zaproszony przez mandaryna chińskiego na obiad. Podano do stołu zbyt apetyczną pieczeń, ale w tem Anglikowi strzeliła myśl do głowy, że go Chińczyk, być może, częstuje kociem mięsem, jako, że Chińczycy jadają koty.

Chcąc się upewnić, co do tego, a nie umiejąc ani słowa po chińsku, wskazał palcem na półmisek i zapytał: miau, miau?

Chińczyk, który nie znał znowuż angielskiego, odpowiedział, potrząsając głową: wau, wau!

Dobra rada.

— Mój kochany!... to musi się skończyć... nie mam zupełnie co na siebie włożyć!

— A przecież chciałeś, żeby nasze małżeństwo było rajem na ziemi... chodź teraz nago!...

Numer 48. Rok XI. Kraków, dnia 25 Listopada 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara, rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Bieda.

Wszędzie ludzie narzekają na ciężkie czasy Z tego jednak nie wynika, że one naprawdę wszędzie są ciężkie. Naprzykład obecnie słyszy się wszędzie narzekania na drożyznę tak, jakby ona po raz pierwszy przyszła na ten świat. A przecież wiadomo, że drożyzna istnieje już od Adama i Ewy. Młodzi niech się zapytają starszych, jak to za ich czasów wszystko było o wiele tańsze, a ci starzy, gdyby mieli żyjących dziadów i pradziadów, dowiedzieliby się od nich, że im dalej wstecz, tem mniej potrzeba było pieniędzy, aż nareszcie usłyszeliby, że np. przed 1000 lat wół kosztował 20 razy mniej, niż dzisiaj. Z tego jednak nie wynika, żeby się wówczas ludzie 20 razy lepiej mieli, owszem wszystko przemawia za tem, że się mieli o wiele gorzej. Nie było takich wspaniałych miast i wygodnych, ciepłych domów, okrywali się źle (koszul zupełnie nie znali), gdy na kiepsko uprawioną ziemię przyszedł nieurodzaj lub zaraza, to całemi gromadami wymierali z głodu lub choroby. A w dzisiejszych czasach, czy kto kiedy słyszał, aby nawet w najbiedniejszej okolicy panował jaki pomór? Oświata i dobry zarząd kraju są wrogami biedy.

A co to jest bieda? Nie tak to łatwo na to pytanie odpowiedzieć, jakby się zdawało.

Włościanin nasz narzeka na biedę, bo podatki wielkie, bo musi ciężko pracować na kawałek chleba itd. A są na świecie ludy, któreby się uważały za szczęśliwych, gdyby się im tak powodziło, jak naszym wieśniakom. Mieszkając w wilgotnych jaskiniach, odżywiają się tak nędznie, że włościanin nasz umarłby z takiego jadła. W naszym kraju jest znaczna różnica między biedą np. górala lub Rusina, a biedą wieśniaka z pod Krakowa, Łodzi, czy Poznania.

A gdy nasz włościanin lub robotnik wymyśla biedzie, że nie ma czem chudoby wyżywić lub, że musi wędrować gdzieś za morze, aby ciężko pracować na nędzne życie, to równocześnie włościanin i robotnik francuski, czy angielski wymyśla biedzie tylko z tego powodu, że nie może tyle odkładać do kasy na zakupno np. papierów wartościowych, aby mieć z nich dochód na spokojną starość, bo chleba mimo drożyzny mu nie brak, ziemię ma urodzajną, przytem uprawia ją znakomicie tak, że daje mu kilkakrotnie większy dochód, niż wieśniakowi naszemu.

Tak więc biedę ocenia się według tego, do czego się kto przyzwyczaił, a czego nie może zaspokoić. Kiedy wieśniak francuski już będzie krzyczał na biedę, to nasz wieśniak, przyzwyczajony do skromniejszych potrzeb, będzie jeszcze zadowolony, gdy będzie miał to, co francuski; taksamo jest różnica między narzekaniem czeladnika lub robotnika miejskiego, a narzekaniem majstra.

Mimo to nie można powiedzieć, żeby odczuwanie biedy robotnika było większe niż majstra lub urzędnika, który zarabia kilkanaście lub kilkadziesiąt złotych więcej, bo majster lub urzędnik, zarabiają wprawdzie więcej, ale mają też i większe potrzeby, których rolnik czy robotnik nie ma. Np. wypada, żeby urzędnik był lepiej ubrany od robotnika, aby się z niego nie śmiano, aby go więcej ceniono. A gdy nie ma na to ubranie, to choćby miał co jeść, to powiada, że u niego bieda. A pradziwa bieda jest dopiero tam, gdzie brak pożywienia, gdzie głodem trzeba przymierać. A chwała Bogu! u nas ludzi takich mało (choć są), dlatego też i biedy tak wielkiej niema, na jaką narzekamy. Że niema rozkoszy, to prawda, ale i do prawdziwej biedy jeszcze daleko.

A i tej biedy, jaka jest, mniej byłoby na świecie, gdybyśmy mniej narzekali, a więcej i rozumniej pracowali.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

VII.

Smutny, ale zrezygnowany na wszystko jechał Janek na małym, trzęsącym szkaradnie wózku, za wojskiem austrjackiem. Miało się już dobrze na południe i słońce dopiekało mocno — a przytem Jankowi potężnie się jeść chciało, od czasu bowiem pieczeni baraniej, którą z takim apetytem spałaszował w nocy, nic w ustach nie miał. Ale trudno — na wojnie, trzeba wszystko znosić i dziękować jeszcze Panu Bogu za to, że choć skóra cała.

Miał też na wózku towarzysza. Gdy przejeżdżali przez palącą się wieś, wsadzono mu na wózek huzara, rannego w nogę. Huzar był gaduła, a choć stękał czasem, zwłaszcza, gdy wózek za mocno trząsł, przecież prawił różne zabawne historje, pobudzając do śmiechu Janka i czterech Pandurów, którzy jechali koło wózka na straży. Od tego huzara dowiedział się Janek, że książę Józef Poniatowski szczęśliwie ocalał, że Austrjakom nie udało się ani jednego polskiego ułana schwytać, że wprawdzie zabili kilku, ale i sami mają dziesięciu poległych i trzynastu rannych — że jednem słowem, wyprawa się nie udała.

— Mówią — prawił dalej huzar — że ktoś ostrzegł księcia. No, gdybyśmy takiego łotra złapali, jak Bóg w niebie, jenerał-by go powiesił.

Ze słów tych przekonał się Janek o rozdrażnieniu przeciwko niemu całego wojska, oraz, że nie czeka go zbyt przyjemne przyjęcie w Łęgonicach. Ale był zrezygnowany na wszystko — owszem, czuł się dumnym, że może ponieść w ofierze swe młode życie za kraj — że kiedy go bronić jeszcze nie jest zdolny, jak przystało na mężczyznę, to przynajmniej potrafi mu oddać wszelkie usługi, dopóki mu tylko sił starczy.

Takiemi ożywiony myślami, westchnął sobie do Boga, oddał się pod Jego opiekę i spokojny, pełen ufności, jechał dalej, słuchając wesołych opowiadań huzara.

Kiedy tak Janek rozmyśla nad swoim losem, jeden z Pandurów obejrzał się i zwrócił uwagę swych towarzyszy na olbrzymie chmury kurzu, podnoszące się na drodze za nimi, w odległości jakiej pół ćwierci mili. Wszyscy odwrócili głowy i z niepokojem patrzyli na coraz bardziej zbliżającą się kurzawę. Jankowi zdawało się, że od czasu do czasu między brudno-żółtemi płachtami kurzu, zabłyśnie coś jak szabla, zamigocze, jak trójbarwista chorągiewka.

— O! gdyby to byli nasi! — szepnął.

A wtem ranny huzar, który także z wyraźnym niepokojem patrzał na kurzawę, rzekł do Pandurów:

— Tu niema co myśleć, kamraci — niech dwóch z was zawróci i obaczy, co to jest, jeden zaś niech poleci do rotmistrza i powie mu, że jakaś podejrzana kurzawa ukazała się za nami na drodze.

Ale Pandurom nie podobała się ta rada.

— My nie możemy odjeżdżać — my mamy rozkaz pilnować tego małego Polaka.

— A cóż wy myślicie! — zawoła z gniewem huzar — że on wam ucieknie? Jeden przecież zostanie, a i ja nie jestem od parady. Tego malca pilnować! tu los wojska jest ważniejszy, niż pilnowanie tego malca. Od czegóż wy jesteście na tyłach? Kto nie pilnuje tyłów wojska, idzie pod sąd wojenny i kulą w łeb.

Kiedy się tak sprzeczają, Janek ani na chwilę nie spuszcza wzroku ze zbliżającej się szybko kurzawy. Czy miał lepsze oczy od otaczających go żołnierzy, czy też fantazja snuła mu zwodnicze obrazy, dość, że zdawało mu się, jakoby widział kilkakrotnie najwyraźniej ułanki z piórkami amarantowo-białemi, chorągiewki, żółte rabaty, konie, lecące pędem.

— Dadząż oni wam bigosu! — szepnął, spoglądając z ukosa na coraz bardziej niepokojących się Pandurów.

Nakoniec te chmury kurzu zauważono widocznie i w wojsku, postępującem przodem, gdyż odłączyło się od niego kilkunastu Pandurów i huzarów, i pod wodzą porucznika von Szmulskiego popędziło ku podejrzanej kurzawie. Ale nie ulecieli i trzech stajań, gdy nagle hukło kilka wystrzałów, rozległ się potężny okrzyk, porucznik von Szmulski i jego Pandurzy w nogi, a za nim mnóstwo ułanów z pochylonemi lancami, leci, goni, pędzi jak huragan!

Dopieroż to zrobił się zamęt nie do opisania w szeregach austrjackich! Na nieszczęście dla Austrjaków droga w tem miejscu była wązka, z głębokimi, pełnymi wody rowami po obu stronach, tak, że nie mogli się odwrócić, ani rozwinąć, zwłaszcza, że wózek z Jankiem im przeszkadzał. Tymczasem ułani z nastawionemi do ataku lancami, przy których chorągiewki furkały głośno, przelecieli jak wicher koło wozu Janka, tratując wszystko, kłując i pędząc przed sobą przerażonych huzarów, jak stado owiec. Jeszcze Janek nie oprzytomniał zupełnie, tak się to wszystko nagle stało, gdy na dzielnym białym koniu, ubrany w mundur piechoty, nadjechał jakiś oficer polski z obnażoną szablą w ręku i, zatrzymując się koło Janka, wołał na swoich głosem donośnym:

— Naprzód, wiara! Nauczcie tych szołdrów moresu za zbójecką napaść!

Poczem pojechał dalej. Jeszcze koło wózka przeleciała, jak lawa, masa ułanów, potem wszystko znikło, ucichło, tylko zdala dochodził odgłos tętentu koni, wrzawy i huku wystrzałów. Janek obejrzał się, był sam. Woźnica uciekł, zostawiwszy konie i wózek na wolę Bożą, ranny huzar gdzieś zniknął, Pandury drapnęli i Janek został sam. Około niego, na drodze leżało paru ciężko porąbanych i pokłutych huzarów, ówdzie po lesie między drzewami rwał się i rżał jakiś koń ze złamaną nogą, w dali przewracały się kołpaki huzarów i świeciły dwie, opuszczone przez wszystkich armaty, z kilku ludźmi, zarąbanymi koło nich.

— Nie mam tu czego czekać! — szepnął Janek, zeskoczył z wózka, podniósł rzucony na ziemię pistolet huzarski, przeskoczył przez rów i znikł wśród gęstwin drzew.

Biegł przed siebie, uważając i słusznie, że im dalej będzie od pola bitwy, tem będzie bezpieczniejszym. Dopóki więc tylko dochodził go odgłos wrzawy, dopóty uciekał — ale wkońcu ogarnęła go wielka, poważna cisza leśna, przerywana tylko szmerem liści i owadów, lub poświstem wiatru po szczytach drzew. Janek uczuł się tak zmęczonym, że położył się na murawie pod dębem, i choć opędzał się przed snem jak mógł, przecież wkrótce zasnął.

Dobrze już było pod wieczór, kiedy się obudził. Janek podniósł się, przetarł oczy, rozejrzał dokoła i począł rozmyślać nad swem położeniem. Był sam, wśród nieznanego sobie lasu, nie wiedząc, gdzie się obrócić wobec zapadającej nocy, głodny okropnie i spragniony. Co tu robić, skąd znaleźć choć kawałek chleba, choć kropelkę wody, którąby mógł odświeżyć spieczone gorącem usta. Przerażały go przytem szybko wśród drzew zapadające ciemności — koło siebie, w odległości dziesięciu może kroków rozróżniał jesz-

cze pojedyncze drzewa, ale dalej leżała czarna, nieprzejrzana noc. Bał się zostać w tym lesie, obawiał się, by go nie napadł dziki zwierz.

Myśląc o tem, włosy mu powstały na głowie i kroplisty, zimny pot wystąpił na czoło. Oglądał się trwożliwie dokoła i zdawało mu się co chwila, że widzi w głębi leśnej świecące się oczy wilka, że słyszy groźne mruczenie niedźwiedzia. Każdy huk puszczyka odzywał się w nim przyspieszonem biciem serca. Nie śmiał się ruszyć z miejsca — i siedział ciągle pod drzewem, przerażony śmiertelnie.

Ale wkrótce począł się śmiać ze swego dziecinnego przestrachu. Przypomniał sobie, co nieraz mówił mu stary Marcin, że w tych stronach kraju wilki są rzadkością, a o niedźwiedziu nikt od stu lat nie słyszał nawet. Zresztą wilk w kwietniu nie jest niebezpieczny.

Jak poprzednio był przerażony, tak teraz odważny. Zerwał się na nogi, zaśmiał głośno, aż echo po nim zaśmiało się po lesie, i rozglądając się dokoła, spostrzegł leżący na murawie pistolet, który podniósł rano na drodze, uciekając z wózka. Obejrzał skałkę, spróbował, czy nabity, a przekonawszy się, że tak jest, śmiało postąpił parę kroków.

— Teraz już niczego się nie boję — mówił — tylko mi się jeść okropnie chce, a i pić także. Żeby choć kroplę wody skąd dostać! Chyba zawrócę ku gościńcowi, tam w rowach jest woda. Tak, tak, najlepiej będzie iść ku gościńcowi, dostanę się do wsi, nakarmią mię ludzie, przynajmniej z głodu nie umrę.

Nieszczęściem, stracił zupełnie pojęcie, w której stronie znajduje się gościniec — nie wiedział, gdzie się skierować. Po długim namyśle, niepewny, zniechęcony znowu, ruszył w stronę, gdzie mu się zdawało, że powinna być droga.

Tymczasem noc zapadała zupełna i w lesie zapanowały nierozjaśnione niczem ciemności. Ponad drzewami tylko widać było kilka migocących gwiazdek. Zerwał się przytem, jak zwykle pod wieczór, chłodny wietrzyk, niezbyt przyjemny wśród nocy, w lesie, zwłaszcza wtedy, jak się jeść chce. Znów zabobonna trwoga opanowała Janka — szedł, oglądając się dokoła, nadsłuchując i zatrzymując się za lada szelestem, jaki doszedł do jego ucha. Wszystko to męczyło go daleko więcej, niż głód i znużenie.

Wtem, gdy tak idzie i ogląda się trwożliwie, zdawało mu się, że słyszy jęk, niedaleko od siebie. Stanął, zatrzymując oddech w sobie i wytężając słuch. Jęk się powtórzył. Wśród ciszy leśnej w nocy, jęk ten przybierał jakiś wyraz smutku, skargi, płaczu, żalu...

Janek nie wiedział, co to znaczy. Stał, ukryty za drzewem, z ręką na cynglu pistoletu, przerażony okropnie. Gdy jednak jęki ciągle się powtarzały, w rozpaczliwej odwadze, postanowił się przekonać, coby to było.

— Przecież jest jakaś żyjąca istota w tym pustym lesie... — szepnął i posunął się w kierunku zasłyszanego jęku. W miarę, jak się zbliżał, jęki były coraz donośniejsze, coraz wyraźniejsze. Idąc tak, Janek nagle ujrzał coś białego, szerokiego, coś nieruchomie leżącego na ziemi. Nie mógł zrozumieć, coby to było — a jęki wciąż powtarzały się, coraz bliżej, tuż prawie przy nim.

Schylił się i przy tej trosze światła, jaka jest nawet wśród największych ciemności, spostrzegł pod nogami swemi leżącą małą psinę, skowyczącą żałośnie.

— A więc to ty, biedaku, jęczałeś tak okropnie — rzekł Janek, głaszcząc psa po głowie — cóż ci to jest i czemu się nie podniesiesz?

Pies istotnie włóczył się u nóg Janka, skowycząc ciągle i liżąc mu ręce. Nie wiele myśląc, podniósł go Janek i przekonał się, że psina ma strzaskane szkaradnie obydwie tylne nogi.

— O biedny piesku — zawołał — któż tak niegodziwie z tobą postąpił?

Pies tulił się do niego, lizał mu ręce i jęczał tak smutno, tak żałośnie, że Janek uczuł łzy w oczach.

— Cóż ja ci poradzę — ja sam jestem opuszczony! — szeptał.

Podniósł głowę i spostrzegł znowu ową białą płachtę, leżącą nieopodal na ziemi, którą już poprzednio zauważył.

— Co to być może? — spytał sam siebie i posunął się naprzód. Na wielką swoją radość przekonał się, że to wielka kałuża wody, która zapewne utworzyła się z deszczu poprzedzającej nocy i świeciła pod blaskiem gwiazd biało, podobna do płachty, leżącej na ziemi.

Podziękował Bogu za to odkrycie, ugasił pragnieni ,obmył nią zakrwawione nogi psa, potem wydobył z kieszeni chusteczkę, zmaczał ją, rozdarł na dwie połowy i starannie obwiązał połamane nogi psiny. Ten jęczał z bólu, ale zachowywał się spokojnie, jak gdyby rozumiał, że to, co z nim robią, robią dla jego dobra — lizał tylko biedak ciągle ręce Janka.

Opatrzywszy rannego swego towarzysza, Janek wziął go na ręce, wstał i poszedł dalej, odważniejszy już teraz i spokojniejszy, szukać gościńca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Człowiek a przyroda.

Jak słabym i niedołężnym jest człowiek na tym świecie Bożym! Niejedno zwierzę przewyższa go bystrością zmysłów i siłą fizyczną. Ogień, powietrze i woda są jego wrogami. Piorun zabija, wichry burzą jego mieszkanie, woda porywa jego mienie i tamuje jego kroki, a trzęsienie ziemi wali jego sadyby. Lew, tygrys, żmija, a nawet grzyb jadowity dybią na jego życie. Ale człowiek siłą swego ducha, a przedewszystkiem rozumem i wolą potrafił ujarzmić zwierzęta — siły zaś przyrody wziął w swoją służbę. Człowiek nie może według praw swej natury zapuszczać się w głębiny morskie jak ryba — jednak dzwon nurkowy daje mu możność dostania się aż na dno morskie, gdzie może przebywać całe godziny i zbierać perły i muszle.

Ludzkie oko nie jest tak bystre, jak oko sokoła lub orła, ale uzbrojone teleskopem ogląda gwiazdy, odległe tysiące i więcej mil, a pod mikroskopem widzi bardzo dużo istot żyjących w kropli wody. Czyż może się człowiek mierzyć ze siłą słonia, który trąbą swą obala go niby lalkę lub ze siłą lwa, który jednem uderzeniem swej łapy, konia powala albo ze siłą wieloryba, który statek druzgoce? A przecież człowiek na słoniu wznosi wieże, w których siedzi, karabinem kładzie trupem lwa, harpunem zabija wieloryba i zabiera z niego tłuszcz, a przecież dłoń jego dźwignią porusza największe gmachy i zapomocą windy ogromne ciężary unosi w górę. Ostry ząb bobra przecina grube pnie drzewa, ale piła i topór w ręce ludzkiej ścinają olbrzymie dęby i trzebią odwieczne lasy, świder wiedziony ręką ludzką sięga dalej w miąsz drzewa niby ryjek owada lub dziób ptasi. Ryk lwa potęgą swą szerzy przestrach po pustyni, ale głos ludzki, puszczony w przewody trąby, brzmi silniej, a huk działa ryk lwa zagłusza.

Człowiek zmusza ziemię pługiem, aby mu chleb dawała, kilofem rozbija jej wnętrze, skąd wydobywa sól, naftę, żelazo, węgiel, złoto i srebro oraz wiele innych kruszców. W powietrzu wznosi się balonem lub aeroplanem wyżej niż orzeł, w toniach morskich zakłada druty, któremi łączy stałe lądy. Piorunowi wskazuje drogę gromochronem, a poznawszy elektryczność i jej prawa, czyni z niej posłańca swych myśli, które drutami telegraficznymi lub falami powietrza w mgnieniu oka w odległe światy posyła... I ogień wszystko niszczący ujął człowiek w moc swoją. Kazał mu wodę przemieniać w parę i nią poruszać machiny okrętów, płynących z szumem po wzburzonych falach morskich lub maszyny kolei, jadących torami żelaznymi.

Człowiek wreszcie kazał machinie parowej pracować we fabrykach, a ona posłuszna rozkazowi, porusza warsztaty z olbrzymią siłą i dostarcza mu sukna, papieru, obuwia, mąki, cukru, broni i narzędzi rolniczych oraz gospodarczych. Tak tedy człowiek, opanowawszy siły przyrody, zmusza je do służenia sobie i staje się przez to silniejszym. Jakżeż winien on dziękować Stwórcy za to, że go uczynił panem stworzenia na ziemi!! *(Iris...)*

Złamane życie.

Pan Słabowolski przyszedł dziś poraz pierwszy po przebyciu ciężkiej choroby do biura. Zaraz przy wejściu przywitał go chłodny wzrok szefa, który przechodząc mimo na jego głęboki ukłon, zaledwie skinął mu głową. Słabowolskiego tknęło złe przeczucie. Aczkolwiek był on wzorowym urzędnikiem, człowiekiem uczciwym i szlachetnym, nie mniej jednak był to człowiek chorowity i romantyk. Zwłaszcza, gdy nadeszła zima, chorował on więcej, niż pracował. Po całych więc nocach nie spał, lecz leżąc na wznak i utkwiwszy wzrok w jakiś punkt... marzył. W ten sposób mijały dnie i tygodnie, a pan Słabowolski chodził zawsze zamyślony, często o Bożym zapominając świecie. Gdy wreszcie wyzdrowiał i przychodził do biura, czuł się wśród murów tych i kolegów, obcym, niepotrzebnym intruzem. I to go martwiło. Wiedział, że stosunek ten musi się skończyć, że szef przez grzeczność tylko i litość nie wypowiada mu posady, lecz że pewnego poranku jednak, gdy się zjawi w biurze... Słabowolski, nie chciał i nie śmiał nawet myśleć o tem. Boże! Cóżby on wtenczas zrobił? Z czegoby wtedy żył, a nadewszystko jego stara matka, którą on utrzymywał, a którą kochał nad życie? Myśli te przemknęły mu przez głowę jak błyskawica, oświetlając przepaść, jakaby go w danym razie czekała. Ledwo też usiadł przy swem biurku, gdy zbliżył się doń woźny, oznajmiając, że szef prosi go do siebie. Słabowolski przeczuł zbliżającą się katastrofę, siedział jeszcze chwilę jak odurzony i niepewnym krokiem udał się za woźnym. Urzędnicy, domyślając się, jaki cel ma ta wizyta, trwożnie oczekiwali przybycia kolegi. Po chwili też ukazał się on z powrotem, blady jak ściana i zataczając się jak pijany, bez pożegnania wyszedł. „Alea iacta sunt“...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Cicha pogodna noc majowa. Na firmamencie błyszczą niezliczone krocie migocących gwiazd, w pośrodku których widnieje pucołowata twarz miesiąca. Wtem obojętne oblicze jego drgnęło, rysy się zaostrzyły, a wzrok utkwił w jednym punkcie na ziemi. Figlarne gwiazdy ujrzawszy jego zmienione oblicze, zdumiały się. Cóż mogło go tak silnie zająć. Chcąc zbadać przyczynę tego niezwykłego zjawiska, skierowały w tę samą stronę wzrok swój ku ziemi...

W szerokiej dolinie, toczyła majestatycznie swe wody rzeka, nad którą wznosił się most. Na moście przechadzał się nerwowym krokiem jakiś mężczyzna, który wnosząc z zaciśniętych pięści i zmarszczonego czoła, nad czemś usilnie myślał. „Cóż w tem dziwnego“ — szeptały między sobą naiwne gwiazdeczki — „czyż to miałoby być powodem zainteresowania naszego opiekuna księżyca“? A wtem jedna z gwiazd, mająca widocznie lepszy słuch od swych sióstr, zawołała tajemniczym głosem: „Cicho! cicho! czyż nie słyszycie, jak rzeka coś szemrze w dolinie i jak coś cicho szepcze“? Gwiazdy zaciekawione ucichły, natężyły wzrok i wstrzymując oddech, pilnie słuchały, co też ta tajemnicza rzeka szepce wśród letniej nocy. I tak cicho się stało w przestworzu, że aż same gwiazdy się temu dziwiły. I otóż posłuchajmy, co one widziały i słyszały...

Słabowolski (gdyż on to właśnie był), przechadzał się wciąż po moście. Wynędzniała twarz jego, oblana światłem latarni, wyrażała silną rozterkę duchową. Od czasu do czasu przystawał, a wtedy twarz jego, kurczyła się, zaciskał zęby i obłąkanym wzrokiem wodził po rzece. Gwiazdy patrzyły nań ciekawie i zdumione, mrugały do siebie znacząco. A rzeka, szemrze coś dalej bez przerwy, szepce i kusi. Słabowolski coraz to szybszym krokiem przechadza się po moście. Czuje, że walka się w nim wzmaga, że musi zwyciężyć, w przeciwnym bowiem razie, zginie. W piersiach, jako ptak na uwięzi, serce mu kołacze. Wodzi obłąkanym wzrokiem i chce uciec z tego fatalnego miejsca i coś w duszy mu mówi: „Uciekaj! uciekaj, gdzie cię oczy poniosą, tu śmierć na cię czyha“. Lecz nie, nie może ni kroku naprzód postąpić. Jakieś przeklęte fatum, z nieprzepartą siłą, przykuwa go do miejsca. Jakaś siła tajemnicza pcha go w objęcia lodowatej rzeki. Zimny pot perli się na czole nieszczęsnej ofiary. Opiera się o barjerę, zaciska kurczowo dłonie. Czuje, że walka się rozstrzyga. Wtem wzrok jego padł na tajemniczą głębię, wzdrygnął się, lęk, nieopisany lęk przed śmiercią wstrząsnął całem jestestwem jego, poczyna na całem ciele drżeć, usiłuje się jeszcze opierać, jeszcze ze sobą walkę toczy, w duszy jego dzieje się coś strasznego. Lecz opór jego coraz słabnieje, traci świadomość i panowanie nad sobą.

Głucha, przerażająca cisza. Gwiazdy ciekawe końca tragedji, o mało, że się z firmamentu nie oberwały. Wtem chmura przepływając w przestworzu zasłoniła most, a gwiazdy usłyszały tylko krzyk jakiś stłumiony i plusk spadającego do wody ciała...

Ledwo przebrzmiało echo tego krzyku, gdy gdzieś w głębi rzeki, rozległ się piekielny chichot djabła, chichot triumfu mocy czartowskiej... Gwiazdy, które patrzały na to zmaganie się człowieka z czartem, usłyszały jego okrzyk zwycięski, jego śmiech piekielny, drgnęły, cofnęły się w głąb zlęknione i zbladły ze strachu.

Świtało. *„Ben Chorin“.*

WALKA Z MOSKALAMI W 1863 ROKU.



Walki z Moskalami, jakie staczali nasi praojcowie, należą już do przeszłości i daj Boże, aby się nigdy nie powtórzyły. Dość przecież jest ziemi na świecie, aby wszystkie narody mogły żyć obok siebie w spokoju i pracować nad podniesieniem dobrobytu w własnej ojczyźnie. Nie rozumieli tego Moskale i od wieków pragnęli coraz bardziej powiększać swoje posiadłości kosztem swych sąsiadów. I to właśnie zgubę im przyniosło. Bo choć przez lat przeszło sto byli górą i dręczyli nas na każdym kroku, to przecież Bóg sprawiedliwy pokonał ich pychę, zsyłając na nich klęskę i na polu bitew i klęskę gorszą od tej, bo bolszewizm, pod którego jarzmem uginają się do dziś dnia. Jedną z takich walk naszych praojców w roku 1863 przedstawia nasz obrazek, na którym widzimy całą grozę zmagań się przodków naszych o odzyskanie wolności. Straszny to i nigdy niezapomniany widok, choć tak odległy od dnia dzisiejszego. Dawne to czasy, a przecież na wspomnienie ich krew w żyłach się ścina i drży serce od żalu nad ich cierpieniami.



W samo święto Niepodległości Polski dostałem od jednej dzieuski ze Scakowy pisanie, wyśrajbowane równiuśkiemi literami, które mnie okrutecnie uciesyło, a nie tyle jesce ono, co dwa złociaki, jakie się przy tem pisaniu znajdowały. Choć i pisanie było fajne i niejeden z Was nigdy takiego jesce nie otrzymał. Co prawda, to i całkiem słuśnie, bo cy się to który umył choć do mnie? Nie wierzycie, to posłuchajcie, jak ja się podobam. Bo oto co pise owa kochana dzieuska z dwoma złotemi:

Posyłam Ci, Maciuś, znowu dwa złociaki,
A wszyćko la tego, ześ Ty dobry taki:
Tak nas dzieuchy kwalis, ze se myśle casem,
Cemu sie nie zenis, toć zima za pasem!
Ozeń ze sie, Maciuś, a przed Nowym Rokiem
I juz dzieuch nie kuś Twym pieknym widokiem,
Bo my sie juz wszyćkie zadurzyły w Tobie;
Moze przecie wtórą z nas wybierzes sobie!

Prawda, jaki to piękny, jaki ućciwy i jaki prawdziwy wirsyk? Choć ja to wszyćko wiem, ze tak jest, ale mi przecie przyjemnie, ze inksi taksamo, jak ja, myślą, a juz najprzyjemniej, ze taksamo myślą dzieuchy, bo się tu o nie przecie głównie rozchodzi.

Rada dobra, zeby się zenić i jabym się juz dawno był do niej zastosował, ale w jednem jest sęk: zeby sie to tak mozna ozenić choć ze stoma, albo z dwudziestoma, albo choć z pięcioma! Ale tak z jedną i to na całe zycie? Jakby se tak człek wziął choć z pięćdziesiąt, toby miał na kuzdą niedzielę inną i zadnaby się z nich tak prędko nie zdarła. Azeby choć ze dwanaście, toby se mógł odmieniać przynajmniej raz na miesiąc koło nowiu i byłyby na zwiesne inkse, latem inkse, pod jesień inkse i na zimę znowu inkse. Moznaby se wybierać do koloru. Na zimę toby się przydała taka obsyrnia w sobie, coby nie ino człeka, ale całą izbę sobą zagrzała. Na zwiesne i jesień, kiedy to nieco cieplej na polu i w chałpie, wystarcyłaby taka zwycajna tak w pasie, jak i powyzej, bo juz wtedy i słonko jako tako grzeje, to się bez babskiego ciepła jako tako obejść mozna. A na lato toby wystarcyła całkiem mikrna, a nawet taka byłaby lepsiejsa, bo w takiej mniej pary, to od niej tak gorąco nie bucha.

A tak to co. Jak wziąć jednę, a obsyrnią, to choć zimą z nią wygoda, to juz w lecie nijak nie idzie, bo ma na sobie tyle sadła i spyrki, ze omal z niej smalec nie kapie. Taka to ino sobą w lecie zaniecysca powietrze.

A wziąć znowu mikrną, to taka na lato w sam raz. Ale juz jesienią, kiedy zacną od północy silne wiatry wiać, to ją trzeba chyba na powrózku przywiązywać, aby jej casem wiatr nie porwał, a zimą trzeba chyba w kieseni nosić, aby to bidactwo nie uskwirkło od mrozu. Sama ciepła z siebie w izbie ani tyle co małe prosię nie narobi, a jesce na to trzeba z tej i z tamtej strony dmuchać, zeby do zwiesny dotrwało.

Zeń się, Maciuś, powiadają dzieuchy i niby to zadna z nich nie powiada, z kim, choć kuzda myśli o sobie. Ale samo gadanie to jesce na nic. Do zeniacki trza przecie wiele rzecy, bo co ujdzie kawalirowi, to zeniatemu nijak. Kawalir prześpi się na byle jakiem wyrcynie, nakryje się płócioncyną i wytrwa bez całą noc. Co inksego zeniaty! Ten musi mieć i morowe łózko i fajną pierzynę i inkse okolicności, bez których się w panieństwie obejść mozna. A na wszyćko trza piniędzy. La tego ja se tak myśle, ze jakby mnie miało juz spotkać to niescęście, cobym się musiał ozenić, to ta moja przysła baba musiałaby mi najprzód pokazać, co ona potrafi, a przedewszyćkiem, cy potrafi chłopa utrzymać. Musiałaby więc zgóry przysłać porzomny zadatek, a ze to wszyćko dzisiaj drogie, toby nie wystarcyło dziesięć, ani dwadzieścia złotych, ale trzebaby parę setek. Ftóra więc ma naprawdę ochotę, to niech się nie wstyda, bo ja nikomu nie powiem, ale niech co rychlej przysyła parę stówek, a pogadamy.

Duzo się wam zdaje? Przecie dziś jaki taki koń warta siedm i ośm stówek, a przecie chłop, i do tego jesce taki, jak ja, ma większiejsą wartość. Dziś nie takie casy, jak dawniej! Dziś za pozbycie się panieństwa trza płacić, bo chłopów wybili na wojnie, a te pędraki, co się po wojnie porodziły, to się jesce na zeniacce nie rozumią. Zreśtą co przedwojenny kawaler, to przedwojenny i takiego trzeba juz ze świcą sukać. Ftóra więc chce naprawdę rozkosy małzeńskiej uzyć, niech cemduchu posyła hopy, a uwidzimy, co i jak.

Liście.

D. Lesiowski.



Przepłynął tęskny liści szum,
Sypiąc drzew żyzne płaty,
Snuje się długi liści tłum,
Korowód snując skrzydlaty.

Posępną pieśń zawodzi las,
Tajemną baśń opowiada,
Z księgi, co zakrył dziejów czas,
Las tajemniczo coś gada.

Dzwonów przepłynął lasem dźwięk,
Wołając na córy i syny,
W zaroślach słychać głuchy szczęk,
To lud wykuwa spiż-czyny.

Lechicki stary szumi bór,
Jesienne toczy narady,
I brzmi potężna pieśń hen z gór.
Lud kroczy w przodków swych ślady.

Na niebie Miru złoty znak
Do sławy toruje drogi,
To Polski gościnny, szeroki szlak,
Przybytek czynu błogi.

I płynie gromki wieszczów zew —
Na szczyty Polsko! na szczyty!
Nie zwali Ciebie wrogów wiew
W twej duszy gorzą już świty.

I szumi... szumi... liści tłum
Po borach po polskiej ziemi,
Odgłosem wielostrunnych dum
W dniach cudnej polskiej jesieni.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Filipiny.



Mieszkańcy Filipin pracują nad przygotowaniem tytoniu.

Jeżelibyśmy się udali z Oceanji ku północy do potężnego cesarstwa japońskiego, to po lewej ręce zobaczymy szereg wysp, które noszą wspólne miano: Filipiny. Położone one są też na oceanie Spokojnym tuż niedaleko wybrzeży chińskich.

Wyspy Filipińskie, choć daleko mniej są znane w Europie od wielu innych części Azji, należą jednak do najpiękniejszych i najosobliwszych krain tej części świata. Podróżni twierdzą, że nigdzie pobyt nie jest tak przyjemny, jak na tych bogato przez naturę uposażonych wyspach, gdzie badacz przyrody co krok znajduje prawdziwe skarby, które na to tylko zdają się czekać, aby je podziwiać i należycie ocenić. Opisy podróżników i badaczy zgodnie malują ten archipelag, jako rodzaj raju ziemskiego, który pod względem wspaniałości przyrody dorównuje najpiękniejszym okolicom Indyj i Ameryki południowej.

Kto zwiedził poprzednio Oceanię i przybył na Filipiny, spostrzega ze zdziwieniem, że wyspy te nie są podobne w niczem do swych sąsiadek. Podczas, gdy na wyspach Oceanji daje się spotykać jeszcze ludożerstwo, mieszkańcy Filipin są wszyscy katolikami, którzy już dawno wiarę w wielu bogów porzucili, a czczą tak, jak my, jednego Boga.

Filipiny, jak zresztą wszystkie wyspy na południe i na wschód od Azji, były naszym pradziadom nieznane. Odkrył je dopiero w początkach XVI wieku sławny podróżnik Magellan. Wyruszył on w drogę dnia 20 września 1519 roku, a do wysp Filipińskich przybył dopiero 16 marca 1521 roku. Można sobie wyobrazić, ile przez ten czas zażył trudów i ile wycierpiał niedostatku. Niemal w połowie drogi zbuntowała się mu załoga, a bunt musiał stłumić z bronią w ręku. Jakaż radość musiała zapanować w sercu Magellana, kiedy z oceanu wynurzył się rozległy, a wcale nieznany archipelag. Ziemia, do której się odważni żeglarze zbliżali, a w której mieli wypocząć po wszystkich przykrościach i trudach, jaśniała całym przepychem roślinności podzwrotnikowej, posiadając przytem niejedną zaletę strefy umiarkowanej.

Wysokie góry, których łańcuch kończył się dopiero na kilku mniejszych wysepkach, przerzynały ją w kierunku od północy ku południowi. U ich stoków i wzdłuż wybrzeży morskich rozpościerał się prawdziwy raj, w którym posiane ręką natury rosły nietylko najużyteczniejsze do pożywienia służące rośliny, ale i najwyszukańsze krzewy korzenne w zdumiewającej obfitości. Kwiaty najczarowniejszemi zachwycały oko kolorami, lasy pełne mahoniowych, hebanowych i innych kosztownych gatunków drzew. Większą część wysp pokrywał nieprzebyty las dziewiczy, a znajdujące się w nim olbrzymie drzewa, połączone ze sobą splotami najróżnorodniejszych roślin pnących się w górę, służyły za schronienie nieprzeliczonym rojom ptactwa nadzwyczaj żywemi błyszczącego kolorami. Ze zwierząt drapieżnych jedynie kot się tu znajdował, za to nie brakowało tu żadnego gatunku pożytecznych zwierząt domowych; przytem jelenie, sarny, gazele, małpy, papugi, drób w najróżnorodniejszych gatunkach i niezliczonej ilości, motyle o przepysznych barwach i wiele osobliwych owadów; z płazów ożywiały brzegi licznych rzek i jezior krokodyle i olbrzymie żółwie. Do tej nadzwyczajnej bujności wegetacji przyczyniały się, oprócz południowego gorąca, także niemałe i obfite deszcze. W górach znajdowały się liczne pokłady kruszców, nie brakło tu i złota, które może najbardziej czarowało i do siebie ciągło.

Jak to już wyżej zaznaczyliśmy, Filipińczycy są katolikami, a nawrócenie swe zawdzięczają nie komu innemu, tylko Magellanowi. Zabrał on się do dzieła bardzo energicznie. Kiedy tylko wylądował na tych wyspach, wezwał do siebie dwóch książąt, tam panujących, zaznajomił ich z nauką Chrystusa Pana i wezwał ich do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Obaj władzcy wykonali nakaz chętnie, a nawet nakazali swym poddanym, aby poszli za ich przykładem. I tak się też stało.

Ale pomimo, że nowonawróceni przed przyjęciem Chrztu świętego uroczyście wyrzekli się bałwochwalstwa i bożków swych zniszczyć przyobiecali, to jednak ciągle jeszcze im składali potajemnie ofiary. Skoro się o tem Magellan dowiedział, wezwał natychmiast tubylców, aby bożków swych popalili. Ci jednak odpowiedzieli, że składają ofiary nie za siebie, ale za jednego z wodzów, który ciężko się rozchorował. Magellan wydał wówczas surowy nakaz popalenia bożków, kazał chorego ochrzcić i zapewnił, iż wierzy mocno, że wódz ów do zdrowia powróci. Gdyby jednak stało się inaczej, czego ani na chwilę nie przypuszcza, to on wówczas odda im swe życie.

Zgodzono się na to, a Magellan z swoimi towarzyszami udał się w uroczystej procesji do mieszkania chorego. Znaleźli go bezprzytomnego na łożu boleści , choroba rozwinęła się już do najwyższego stopnia, a otoczenie zwątpiło o powrocie jego do zdrowia. Kiedy jednak kapłan udzielił choremu Chrztu św., ten ku ogólnemu zdziwieniu otworzył oczy i na zapytanie Magellana, jak się obecnie czuje, odpowiedział, że zupełnie dobrze, a po pięciu dniach był już całkiem zdrów. W uniesieniu radości za tak cudownie odzyskanie zdrowia rekonwalescent skruszył bożka, któremu szczególną cześć oddawał, i kazał zburzyć kilka świątyń. Przykład ten był o wiele skuteczniejszy od wszystkich nauk; w całej okolicy ołtarze bożków pod ręką dawniejszych ich czcicieli sypały się w gruzy.

Głównem zajęciem mieszkańców Filipin jest uprawa ryżu, tytoniu, kawy, abaki (rodzaj konopi),

bawełny, żyta i cukru. Tytoń stanowi monopol rządu i kilka tysięcy mieszkańców zajmuje się zwijaniem cygar, których w samym kraju bardzo znaczną spotrzebowują ilość, gdyż tak mężczyźni, jak i kobiety bardzo dużo palą.

W stolicy Filipin, Manili, są wielkie fabryki cygar, w których wyłącznie pracują kobiety i dziewczęta. Na obrazku naszym widzimy pracę krajowców nad przygotowywaniem tytoniu. Wyglądem są one podobne do Japonek, czy Chinek i jak te zresztą widzimy, nie grzeszą zbyt wielką urodą. Noszą strój lekki, biały, który je chroni od żaru promieni słonecznych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Rozdział XL.

Pojedynek.

Wieczorem w dniu pełni księżycowej, książę Aminow i kanclerz Pac mieli odbyć pojedynek.

Wieczór ten nadszedł.

Sassa z trwogą oczekiwała tego dnia. Przeczucie zapowiadało jej nieszczęście.

Z boleścią zaniosła do księcia prośbę, aby zaniechał pojedynku.

— To niemożebne, Sasso, — odpowiedział książę, — muszę ukarać tego nędznika. Czyż mogę mu darować zniewagę, jaką mi wyrządził?

— Drżę o twe życie! O, ty nie znasz tego podstępnego niegodziwego kanclerza! Dla niego i jego sojuszników, nic nie jest świętem! Zabije cię, użyje podstępu, ażeby ci odebrać, mój małżonku!

— Tego uczynić nie może! Będą świadkowie walki, Sasso!

Sassa padła w objęcia swego małżonka, swego dobroczyńcy, nie mogąc powstrzymać łez!

Wszedł hrabia Thurn, sekundant księcia.

— Jeszcze jedno przed mym odjazdem, — rzekł książę upomniawszy Sassę, ażeby była spokojną i odważną, pragnąłbym w obecności pana, panie hrabio, na wszelki wypadek złożyć oświadczenie, że gdybym miał zginąć w pojedynku, bądź co bądź jest możliwem, to wszystko, co posiadam, należeć ma do mej małżonki.

Hrabia Thurn skłonił się księstwu.

Następnie książę i hrabia pożegnali się z Sassą.

Oznaczona chwila nadeszła. Księżyc w pełni świecił na niebie.

Dwaj panowie w towarzystwie jednego służącego wsiedli do powozu. Hrabia Stahremberg pozwolił na wyjazd i powrót do miasta.

Sassa z ściśniętem sercem stała w oknie pałacu.

Powóz wyjechał z miasta i zwrócił się ku staremu drzewu, pod którem miało nastąpić spotkanie.

Gdy powóz podjechał do starego drzewa, przybyli tam właśnie z drugiej strony kanclerz i pewien basza turecki. Zeskoczyli z koni i przywiązali je. Jednocześnie służący otworzył drzwiczki powozu.

Książę i hrabia Thurn wysiedli, przystąpili do oczekujących i ukłonili się im z zimną grzecznością.

Basza zbliżył się do hrabiego.

— Walka odbędzie się na pałasze, panie hrabio, — rzekł, — słyszałem, że o zgodnem załatwieniu sprawy mowy być nie może.

— Ja także mam to samo oświadczyć, — odparł hrabia Thurn zimno.

— Więc walka zacząć się może, — odrzekł basza.

Dwaj przeciwnicy dobyli szabel i zajęli stanowisko.

Walka zaczęła się i nie miała się skończyć, dopóki jeden z przeciwników nie padnie. Ścierali się z sobą dwaj wytrawni szermierze. Szable połyskiwały w blasku księżyca i szczękały uderzające o siebie.

Książę jednakże walczył lojalnie i honorowo, a wyższość jego w sztuce szermierskiej zapewniała mu zwycięstwo, zaś z oczu Paca czytać było można, że radby był jakimś podstępnem cięciem pokonać przeciwnika.

Szable zaczęły szczękać coraz żywiej. Kanclerz chciał koniecznie zadać cios przeciwnikowi, ale ten odpierał jego cięcia według wszelkich prawideł sztuki.

Nagle kanclerz, korzystając z niedostatecznego zasłonięcia się księcia, zadał cios, ale nietrafny, zaczął więc walczyć cięciami niedozwolonemi w honorowem spotkaniu.

Hrabia Thurn, spostrzegł to, i chciał przerwać pojedynek, ale Pac nie słuchał go, lecz nacierał coraz żwawiej.

— To nie jest lojalna walka! — zawołał hrabia Thurn, — nie mogę brać w niej udziału. Pojedynek skończony.

Turecki oficer odparł z gniewem, że walka winna być prowadzoną do końca i że każdy ma prawo bić się, jak mu się podoba.

W tej chwili kanclerzowi szybko wykonanem podstępnem cięciem udało się zadać księciu straszny cios w górną część ramienia, tuż przy szyji, tak, że książę zachwiał się i szabla wypadła z jego ręki.

Śmiertelna bladość powlekła jego twarz i opuściła go przytomność.

Z szatańskim śmiechem zwrócił się Pac do baszy. Trjumfował. Był przekonany, że książę ranionym jest śmiertelnie.

Basza chciał wziąć jego szablę i obetrzeć z krwi.

— Krew niech pozostanie na szabli, — zawołał Pac trjumfująco, — to krew zwyciężonego przeciwnika. Będzie mi przypominała, żem go pokonał.

— Śmierć jego niezawodna! — rzekł basza do kanclerza.

— Pozostawmy go jego losowi, — odpowiedział Pac.

Odjechali do niezbyt oddalonych przekopów.

Tymczasem hrabia Thurn opatrywał głęboką ranę księcia.

Służący był tak przerażony, że drżał i nie mógł pomagać.

— Ustąp i przestań narzekać! — odpowiedział hrabia niechętnie.

— Bogu dzięki... żyje przychodzi... do siebie, — szepnął hrabia.

Służący sprowadził powóz.

Książę otworzył oczy i spojrzał na klęczącego hrabiego.

— Co się stało? — zapytał słabym głosem, — jestem ranionym, ale żyję. Nie umrę hrabio, będę żył, aby się pomścić! Zdrada i podstęp, oto broń kanclerza... Nędznik... zasłużył... na śmierć... z ręki kata...

Książę był tak osłabiony, że nie mógł więcej mówić. Hrabia Thurn zalecił mu, żeby sobie oszczędzał sił i przy pomocy służącego zaniósł go do wygodnego powozu.

— Już mi lepiej, — szepnął książę osłabionym głosem.

Hrabia wsiadł z rannym do powozu. Służący umieścił się na koźle.

Powóz powoli pojechał do miasta.

Rozdział XLI.

Umierający.

Z niecierpliwością i trwogą oczekiwała Sassa w swoim pałacu w Wiedniu, powrotu księcia z pojedynku.

Godziny upływały. Noc zapadła, długa, straszna noc dla niej.

Niecierpliwość Sassy wzrosła do najwyższego stopnia. Pragnęła wiedzieć, co się stało, gdzie był jej małżonek, którego zdrada Paca mogła wydać w ręce nieprzyjaciół lub skrytobójców.

Wzięła okrycie i w towarzystwie jednego sługi wyszła z pałacu.

Pospieszyła ku bramie, którą książę i hrabia Thurn wieczorem wyjechali z miasta.

Przypadek chciał, że w blizkości wałów spotkała hr. Stahremberga, który konno objeżdżał fortyfikacje.

Spostrzegłszy księżnę, zsiadł on z konia i zbliżył się do niej.

— Panie hrabio, — rzekła Sassa do niego, — mój małżonek, jak panu wiadomo, kilka godzin temu wyjechał z miasta. Czy dotąd nie spostrzeżono powozu?

Hrabia Stahremberg zauważywszy niepokój księżnej, odpowiedział z trudnością wymawiając słowa:

— Powóz lada chwila stanie przed pałacem księżnej pani. Doniesiono mi, że przejechał już bramę.

— Powóz jest już w mieście? Gdzież więc pojechał? — zapytała Sassa w największej trwodze, — gdyby jechał do pałacu, musiałabym go spotkać!

— Jeżeli księżna pani pozwoli, odprowadzę panią do pałacu, — odpowiedział Stahremberg z największem współczuciem, — hrabia Thurn już tam czeka zapewne.

— Hrahia Thurn? — zapytała Sassa z przerażeniem, — hrabia Thurn? dlaczego? Gdzież książę? Co się stało? Pan musisz wiedzieć!

— Musisz się księżno przygotować na wiadomość, która...

— O, mój Boże! — zawołała Sassa drżąc i bledniejąc, — mój małżonek raniony!...

— Nie wiem bliższych szczegółów, księżno. Pozwól się pani odprowadzić do pałacu, tam hrabia Thurn powie wszystko.

Sassa poszła za radą Stahremberga i najkrótszą drogą powróciła z nim do siebie. Służący hrabiego prowadził za nimi konia.

Powróciwszy do pałacu, Sassa podziękowała hrabiemu i poszła na górę.

Trwogą zdjęta pobiegła Sassa do salonu, w którym hrabia Thurn już na nią czekał. Była bladą i wzburzoną.

Spostrzegłszy hrabiego, cofnęła się i załamała ręce.

— Przychodzisz pan sam, panie hrabio? — zapytała, — gdzież książę?

— Przykro mi bardzo mościa księżno, że muszę być zwiastunem smutnej wiadomości, — odpowiedział hrabia wzruszonym głosem.

— Mów pan, mów pan wszystko, panie hrabio! — zawołała Sassa, odzyskując odwagę, nie taj nic, gotowam usłyszeć wszystko. Gdzie jest mój małżonek... padł... nie żyje?...

— Żyje, ale ciężko raniony!

— Gdzie jest?...

— W domu lekarza Braili, mościa księżno. Doktór Braila zawezwał na naradę najznakomitszych lekarzy.

— Prowadź mnie pan do niego! Ja tutaj jestem a mój małżonek raniony! Muszę iść do niego koniecznie!

— Wzruszenie mogłoby mu zaszkodzić mościa księżno!

Sassa spojrzała nań osłupiałemi z trwogi i boleści oczyma.

— Boże wielki!... on nie żyje, pan tylko nie chcesz mi powiedzieć, — krzyknęła Sassa z największą trwogą.

Krzyk ten rozdzierający przejął do głębi hrabiego.

— Żyje... ale jest w niebezpieczeństwie, — odpowiedział.

Sassa włożyła okrycie. Była w niepodobnym do opisania niepokoju. Musiała iść do męża! Serce jej bić przestało.

— Chodź pan, prowadź mnie do rannego, — rzekła stanowczo, — przy nim jest moje miejsce! Ja go będę pielęgnowała.

Hrabia Thurn nie mógł się jej opierać, choć nie był pewnym, czy zastaną jeszcze księcia przy życiu. Lekarze obawiali się katastrofy.

Spotkanie Sassy z doktorem Brailą było straszne i przejmujące.

Księżna, wdzięczna doktorowi, który jej wzrok przywrócił, z przerażeniem spostrzegła smutek na jego poważnej twarzy.

— Prowadź mnie pan do mego męża! Muszę go widzieć! Muszę być przy nim! Moje miejsce przy jego łóżku! — rzekła Sassa.

I zwracając się do Braili, rzekła:

— A cóż mówią lekarze?

Braila wzruszył ramionami.

— Niema nadziei!... jęknęła Sassa.

W tym jej okrzyku streszczała się cała niewypowiedziana jej boleść.

— Obawiamy się tego, księżno, — odpowiedział Braila z cicha.

Sassa zakryła twarz rękami. Nie mogła zapanować nad boleścią. Płakała.

Nikt nie śmiał zakłócać tego świętego bólu.

Hrabia Thurn odwrócił się, ażeby ukryć swoje łzy.

Po twarzy sędziwego Braili, spływały dwie gorące krople.

Nie było jednak czasu do stracenia. Trzeba było zaraz zaprowadzić Sassę do księcia, jeżeli miała go zastać przy życiu.

Sassa zapanowała już nad sobą i odzyskała odwagę.

— Zaprowadź mnie pan do mego męża! — rzekła.

Braila spełnił jej życzenie, prosząc jej tylko, aby przy rannym nie okazywała boleści.

Gdy weszli do słabo oświetlonego pokoju, w którym książę leżał na łóżku, Braila zbliżył się do niego, aby zobaczyć, czy żyje jeszcze.

Dwaj obecni lekarze i służący stali w głębi pokoju.

Dał się słyszeć słaby głos księcia. Pytał o żonę i był przytomny.

Sassa przystąpiła do łoża umierającego i padła na kolana.

Książę podał jej rękę.

— Musimy się rozstać Sasso, rzekł gasnącym głosem.

— Odchodzisz odemnie, mój mężu? Chcesz mnie pozostawić samą? — zapytała Sassa z boleścią. — Cóżbym ja poczęła bez ciebie?

— Skończone... czuję, że umieram... wszystko co posiadam jest twoje... pociesz się bogactwem, które ci pozostawiam...

— Nazywasz to pociechą? O, niech będę biedną zupełnie, ale nie porzucaj mnie!...

— Znam twoje serce, Sasso... bądź zdrowa!... Pac... zabił mnie... zdradziecko!...

— Wydziera mi cię, zbrodniarz! On i Jagiellona nie mogą znieść mojego szczęścia i burzą je okrutnie...

Ukryła twarz w poduszkach.

Ręka księcia opadła ciężko.

— Noc mnie otacza... — szepnął umierający, — gdzie jesteś, Sasso?

— Tutaj, mój panie i małżonku! odpowiedziała Sassa przez łzy.

— Jesteś tu... przy mnie... skończone... umieram... — szepnął książę jeszcze.

Sassa modliła się gorąco.

Ostatnie westchnienie wydał książę, potem nastąpiła cisza, cisza śmierci.

Braila zbliżył się po cichu.

— Książę Aminow nie żyje! — rzekł wzruszonym głosem.

Z głośnym płaczem padła Sassa przy umarłym.

Widok był niewypowiedzianie wzruszający.

Przełożonych miasta zawiadomiono o blizkim zgonie księcia.

Hrabia Stahremberg wszedł do pokoju i przystąpił do umarłego, który leżał blady i nieruchomy.

Hrabia podał rękę księżnej i podniósł ją.

— Bóg niech cię pocieszy księżno, — rzekł łzawym głosem, — ciężka próba przyszła na panią. Boleść twoja jest świętą i słuszną, ale żyj pani dla tych, dla których byłaś dotąd zbawczym aniołem. Anielskiem było zadanie, jakieś pani sobie założyła. Jeżeli możesz znaleść pociechę, to jedynie tylko w jego spełnianiu. (Ciąg dalszy nastąpi).

Czarownica.

Poza wsią wśród karłowatych wierzb, stała maleńka chatka, taka maleńka, że ledwo od wsi było ją można dojrzeć. W małej tej chatce mieszkała sobie starowina w bardzo podeszłym wieku sama jedna, opuszczona przez ludzi, a żyła w okrutnej nędzy. Wychudłe jej członki zakrywały podarte szmaty, łachmany brudne. W każdym kącie kupa śmieci pomieszczenie wszelkiego robactwa i myszy. Pod oknem widniał stół, taki stary i brudny jak ona, a obok na ziemi wiązka słomy przegniłej; to jej posłanie.

Został jeno przy niej wierny towarzysz niedoli, bury kot, który zawsze siadywał na niskim piecu i patrzył strasznie i dziko. Dzieliła się z nim, czem mogła. Był to jej jeden, jedyny świadek niedoli. Żebrała po wsiach, ale i to jej nie pomogło, odpychana przez wszystkich, jak zły duch, dzieci nią straszono, odpychano precz, jak najdalej od domu, każąc jej zginąć .Nazywano ją czarownicą. Poszło to stąd, że męża miała owczarza, który znał się na różnych ziołach, leczył bydło chore na wszelakie choroby, a utarło się mniemanie, że na kogo był zły płatał mu różne sztuczki, czarował, że krowy krwią się doiły, a drób padał jak liście z drzew w jesieni. Ale on jak mawiano nauczył swoich sztuczek owczarskich swą żonę. A kiedy tylko w ten czas zachorowała krowa we wsi, traciła mleko, szemrano, że to Jaga ze złości to robi. I było tak długo, ale Jadze nie było biedy, bo mąż jej Tomasz dawał sobie radę w życiu.

Lecz skoro Tomasz pożegnał ten padoł ziemski, nastały ciężkie chwile dla Jagi. Nie miała dzieci, ni krewnych, rzucona była na los i życia wichurę. Przymierała z głodu, aż poszła na żebry między dobrych ludzi. Trafiło się raz tak, że kiedy pewnego razu poszła po żebranym chlebie i zaglądnęła do wójta, po południu przygnano krowę z pastwiska jakąś chorą, może coś zjadła, dość że krowa w tygodniu zdechła. Wieś rzuciła wyrok na Jagę, obwiniono ją o czary. Wójt był człowiekiem chardym i honornym na całą wieś, kazał Jagę przyprowadzić i obić „czarownicę“. Obito ją, co wlazło, — że Jaga ledwo czołgała się wśród głośnych drwin i kułaków wyrostków tęgich. Opuściła wieś i podążyła do swej chatyny pod las i tam leżała przez dwa dni chora i głodna. Tymczasem wójt za zgodą i uchwałą radnych kazał podpalić domek tej opuszczonej. Poco tu we wsi djabłów, poco ma rzucać na nas czary, puścić ją z dymem razem z jej szatańską budą.

I tak się stało. Wieczór tego samego dnia po naradzie, parobcy podpalili dom „czarownicy“ i uciekli spiesznie, bojąc się duchów i czarów. Przyglądano się od wsi płonącemu domowi, a jakie dziwy opowiadano... że kiedy podpalili dom, to jakieś koty ogniste latały po dachu, coś tłukło się i wyło, a potem sam djabeł stanął na progu, a na jego widok pouciekali parobcy. Z radością patrzano na dopalający się domek.

— Zginął czort — powtarzano — djabli porwali ją ze wsi na rozpalonych widłach.

A domek palił się i trzaskał wśród płomienia, żaląc się nad tą, którą ludzie odpychają.

Do późnej nocy, radzono, śmiano się, aż wkońcu porozchodzono się do domów. A jakież było zdziwienie, kiedy nazajutrz zobaczono Jagę idącą powolnym krokiem razem z swym czarnym kotem przez wieś, podpierającą się kosturem. Stawano wówczas w progu domostw i szeptano:

— Czort wydobył czarownicę, a widzita, dyć ten kot corny to som lucyfer przecie...

Cofano się ze wstrętem i lękiem... A ona szła przez wieś, aż przystanęła przed gankiem dużego domu wójta. Weszła do środka. Wójt zerwał się na równe nogi, jak oparzony ukropem... i stanął nieruchomy. A ona chuda trzęsąca się ze zimna i wściekłości wybełkotała:

— Przyjmij i nakarm, boś dom spalił tyranie...

Przybliżyła się do niego. W domu zaczął się pisk, dzieci chowały się pod łóżko, a wójtowa zamkła się w drugiej izbie. Wójt oprzytomniał, pochwycił biedną żebraczkę i wypchnął na ganek. Sam dla pewności rozparł się w drzwiach chałupy, chwycił ręką za klamkę i nogą pchnął „czarownicę“. Upadła z jękiem na błotnistą drogę jak kawał ścierwa wyrzucona. Zerwała się po chwili. Zebrała siły i podążyła w las zdala od ludzi.

Cicho znów było na polu, jeno wierzba stara rozczochrana, jak wiedźma przed domem wójta za ogrodem zda się groziła poschłemi konarami. A Jaga zmieniła się całkiem teraz, ludzie wydarli jej duszę, uczynili ją czarownicą, taką postanowiła być, wszystko jej już było jedno, mogła w tej chwili zabijać, mordować, kląć nawet przeciw Bogu... na nic nie dbała, bo wydarto jej duszę, serce, sumienie i Boga.



A kiedy w nocy wójt spokojnie spał ze swą rodziną, przyszła jak upiór, już czarownica prawdziwa i podpaliła jego dom, a wraz z domem spaliły mu się krowy, stodoła, cały dobytek.

Ogień pociągnął za sobą i inne domy stojące w sąsiedztwie. Nim wieś się z głębokiego snu przebudziła, przerażona zbiegła się, ratować już nie było co, bo dom już prawie dogasał, a wójt w koszuli z dziećmi stał na drodze przed spalonym domem, na miejscu tem, gdzie upadła wypchnięta wiedźma, osłupiały ze zgrozy, biedny bez dachu, tak, jak ona była przed chwilą. Wierzba jeno nie groziła już suchemi konarami, które także paliły się na ziemi.

Wincenty Kuglin.

Poradnik gospodarczy.

Jak uprawić ziemię w świeżo zakładanym ogródku?

Jeśli zakładamy nasz ogródek na ziemi znajdującej się od dłuższego czasu w kulturze, a więc od szeregu lat uprawianej i nawożonej, wtedy należy tylko rozplanować przestrzeń, wytyczyć ścieżki i dróżki i dalej postępować według ogólnych reguł uprawnych. W miejscach przeznaczonych na dróżki należy wybrać i odrzucić na boki taką tylko warstwę, aby dróżka nabrała w przekroju odpowiedniej formy i aby można było dać cienką warstwę żwiru, czy też innego materjału do utrwalenia jej powierzchni.

Przeważnie jednak siedziby nowe, a więc ogródki przy nich zakładane są na ziemiach zapuszczonych, nieraz na rumowiskach i t. p. W tych wypadkach od dobrego przygotowania ziemi pod ogródek zależy jego przyszłość, t. j. czy będzie on tem, czem być powinien, a więc: pożyteczną rozrywką właściciela, czy też ciągłą udręką, workiem bez dna, w który co rok kładziemy swoje oszczędności, by doprowadzić go do jakiego takiego stanu, nie osiągając pożądanego rezultat

Przystępując do przygotowania pod ogród takiej właśnie parceli, należy przedewszystkiem powierzchnię jej oczyścić z wszelkich zbędnych, a mogących tu się znajdować rzeczy, jak kamienie, cegły, popiół etc.; gdzie potrzeba wyrównać, rozkopując zbyteczne wzniesienia i rozrzucając ziemię, następnie rozplanować, przeznaczając odpowiednie kawałki pod sad, warzywnik, kwietnik, czy trawniki, wreszcie wytyczyć dróżki i ścieżki i wybrać w tych miejscach ziemię, jak to było powiedziane.

Kawałek, przeznaczony pod sad należy na jesień głęboko przeorać czy skopać i dokładnie wyczyścić z chwastów, z wiosną dobrze wygnoić nawozem zwierzęcym i płytko go przyorać. Jeżeli nie chcemy odrazu dużych nakładów ponosić, możemy narazie ulepszyć grunt jedynie w miejscach sadzenia drzewek na przestrzeni m. w. jednego kwadr. metra pod każde drzewko i cokolwiek mniej pod krzew owocowy, a to kompostem lub przetrawionym nawozem bydlęcym (na lżejszych), mieszaniną bydlęcego z końskim (na cięższych), zakopując nawóz nie głęboko, gdyż nie będzie skutkował. Ulepszenie pozostałej pod sad przeznaczonej przestrzeni możemy odłożyć na następne lata.

Jeśli ziemia, na której zamierzamy sadzić drzewa owocowe, była łąką lub pastwiskiem, należy ją głęboko przeorać lub przekopać, a potem przez 2—4 lata uprawiać rośliny okopowe, aby ziemia, przed zasadzeniem drzew owocowych dokładnie skruszała, przewietrzyła się i rozgnoiła. Mokre ziemie należy uprzednio osuszyć i zwapnować, leśne wykarczować i zwapnować.

Część przeznaczoną na trawnik należy głęboko skopać, wzgl. zregulować, a jeśli ziemia jest b. licha, nawieźć ziemi dobrej warstwę kilkucentymetrową i wynawozić dobrze przetrawionym kompostem czy gnojem, które wraz z nawiezioną ziemią należy przekopać. W tenże sposób należy postąpić z częścią przeznaczoną pod rośliny kwiatowe czy warzywa, biorąc jeszcze więcej gnoju czy kompostu. Nawożąc ziemię, należy brać pod uwagę, że o ile doprawiamy ziemię lekką, do ulepszenia należy postarać się o ziemię cięższą gliniastą, przeciwnie, o ile grunt z natury jest ciężki, trzeba mu dodać ziemi lżejszej, piaszczystej.

Naturalnie, zarówno dowózka ziemi jak i obfite nawożenie pociąga za sobą duże wydatki, na które nie każdy może sobie odrazu pozwolić — chcąc temu zaradzić, można uciec się do innych, tańszych sposobów ulepszenia lichej ziemi i osiągnąć tenże sam rezultat tylko stopniowo.

Doskonałą pomocą będą tu t. zw. zielone nawozy. Ziemię głęboko skopać przed zimą i pozostawić tak przez zimę. Na wiosnę jeszcze raz spulchnić, gdy ziemia do lata podeschnie, że przy uprawie nie będzie się „mazała", grabiami wyrównać, rozbijając jednocześnie większe bryły. Kupić i rozsiać nawozy sztuczne w następujących ilościach na każdy ar przestrzeni: 20 kg. tomasówki (jako nawozu fosforowego), 30 kg. kainitu (jako nawozu potasowego) i 3 kg. siarczanu amonowego (jako nawozu azotowego). Nawozy te żelaznemi grabiami z ziemią wymieszać i przestrzeń uprawioną w kwietniu obsiać, o ile gleba cięższa zwięźlejsza, bobikiem lub białą komonicą, o ile lżejsza łubinem, peluszką, czy inną rośliną motylkową. Gdy rośliny zakwitną, należy je sierpem zżąć, czy kosą skosić, ściernisko płytko przekopać i obsiać powtórnie; przed zimą, gdy pierwszy mrozik chwyci, plon przeorać, ale już w całości i pozostawić tak na zimę, na działanie mrozu i powietrza.

Takie postępowanie o tyle ulepszy ziemię, że z wiosną możemy już przystąpić do prawidłowych upraw, a więc czy to do wysiewu trawy na trawnik, czy też mniej wymagających kwiatów lub warzyw — oczywiście, nie zapominając o poprzedniem wyczyszczeniu z chwastów.

KRONIKA.

Od Administracji. Z powodu licznych zapytań w sprawie komisowej sprzedaży „Roli" w sklepach wiejskich, Kółkach Rolniczych i t. p. zawiadamiamy, że każdą ilość „Roli" do takiej sprzedaży posyłamy. Prosimy zatem wszystkich Czytelników, aby nam taką sprzedaż „Roli" w gminach, gdzie jeszcze nie sprzedają, umożliwili. Jest wielu takich, których nie stać na zapłacenie prenumeraty lub wysłanie tej sprawia im trudności, jednak pojedyncze numery po 30 groszy chętnieby kupowali. Umożliwienie nam takiej sprzedaży „Roli" równa się zjednaniu nowych prenumeratorów.

Nowe projekty podatkowe. Rząd zgłosił do Sejmu cztery projekty podatkowe. Od 1 stycznia 1929 r. ma być pobierany stały podatek majątkowy, wolny od wszelkich dodatków samorządowych, wymierzony na podstawie oszacowania majątku, dokonywanego na każdy trzyletni okres szacunkowy. Będzie istniała Rada szacunkowa o charakterze opinjodawczym, złożona z przedstawicieli ministerstwa skarbu, rolnictwa i wszelkich rodzajów majątków. Minimum wartości majątku podlegającego podatkowi określono na 10.000 zł. Projekt przewiduje jednolitą stawkę podatkową w wysokości 5 od tysiąca. Do majątków przekraczających wartość 10.000 zł. stosowana będzie stawka w wysokości 4 od tysiąca. W roku 1929 mają być pobrane zaliczki na poczet mającego się wymierzyć podatku majątkowego w stosunku 3 procent od prawnie ustalonego państwowego podatku dochodowego na rok 1928 z zastosowaniem degresji dla dochodów nie przekraczających 9.900 zł. Zaliczka zarachowana będzie na stały podatek majątkowy przypadający na rok 1929. Projekt ustawy o podatku obrotowym przewiduje, że minister skarbu upoważniony jest do obniżenia stopy podatku przemysłowego od obrotu najniżej do 1 procent od obrotu w wypadkach stwierdzonej potrzeby gospodarczej. Podatek lokalowy przewiduje, iż stopa podatku od lokalów wynosić ma 12 procent, z których 4 procent przypada na rzecz miast, 6 procent na rzecz Funduszu rozbudowy i 2 procent na rzecz kwaterunku wojskowego. Na podstawie projektu rządowego na terenie b. Kongresówki obowiązujące obecnie stawki podatku gruntowego podwyższone zostaną dwukrotnie. Na terenie Małopolski podatek gruntowy ma być podwyższony do wysokości 83 procent czystego dochodu katastralnego wyrażonego w koronach względnie w złotych po przerachowaniu koron na złote według równi 1 kor. austr. równa się 1·05 zł. Na terenie b. zaboru pruskiego podatek będzie pobierany na podstawie ustawy pruskiej z 21 maja 1861 r. licząc 7 złotych za markę złotą. Projekt ustawy przewiduje degresję zastosowaną w ten sposób, iż płatnicy, opłacający tytułem podatku gruntowego nie więcej jak 18 złotych rocznie, wpłacają tylko połowę należności. Płatnicy, wpłacający od 18 do 70 złotych wpłacają tylko 80 procent należności. Do podatku gruntowego pobieranego na podstawie nowej ustawy nie będzie doliczony 10 procentowy dodatek, który doliczany jest obecnie do wszystkich podatków i opłat skarbowych. Dodatki samorządowe do państwowego podatku gruntoweho nie mogą przewyższać w łącznej sumie 150 procent ogólnej kwoty państwowego podatku gruntowego. Poza dodatkami temi grunta nie mogą być obciążone innemi podatkami komunalnemi z wyjątkiem opłaty składek na rzecz zwiazków religijnych i izb rolniczych. Ustawa weszłaby w życie, o ile ją sejm uchwali, z dniem 1 stycznia 1929 r.

O zmianę granic powiatów. Szereg powiatów w Małopolsce Zachodniej nie pokrywa się co do granic z obszarami działania reprezentacyj powiatowych. W związku z tem ministerstwo spraw wewnętrznych zamierza, po otrzymaniu z województw rzeczowych danych w tym względzie, wystąpić z odpowiednim wnioskiem na Radę ministrów. Ostatnio wojewoda krakowski doniósł ministerstwu, że sprawa zmiany granic powiatów krakowskiego, wielickiego, makowskiego i myślenickiego jest już przygotowana i po zaopinjowaniu przez wydział wojewódzki zostanie przesłana do ministerstwa z odpowiednimi wnioskami.

Napad bandytów na plebanję. Ze Stryja donoszą: Onegdaj w nocy, gdy rodzina ks. Michała Bieleckiego, w Pacykowie (pow. Dolina) siedziała przy kolacji, wpadło naraz na plebanję kilku zamaskowanych bandytów. Trzymając rewolwery przygotowane do strzału, krzyczeli: „ruki u werch, hroszi abo żytie". Naturalnie, że przestraszona rodzina księdza nie myślała o oporze. Trzęsąc się, jak we febrze, wydali rabusiom gotówkę w kwocie 700 zł. ci zaś po otwarciu szaf. zabrali biżuterję, poczem zbiegli. Wydział śledczy w Stryju zawiadomiony o wypadku wdrożył dochodzenia, w wyniku których aresztowano Stanisława Furykiewicza ze Stryja, jako silnie podejrzanego o popełnienie tego rabunku. Znaleziono u niego maski i rewolwer. Furykiewicza zabrano na miejsce czynu celem poznania go przez poszkodowanych.

Dramat powojenny. Ze Stryja donoszą: Po ogłoszeniu ogólnej mobilizacji, zgłosił się Michał Wasylów z Łowczyk do służby wojskowej. W walce pod Kraśnikiem zostaje ranny i dostaje się do szpitala. Po wyzdrowieniu idzie znowu na front. W czasie pamiętnej bitwy we wsi Koniuchy ad Brzeżany ciężko ranny dostaje się do niewoli rosyjskiej. Przy sprzątaniu placu boju znaleziono jego legitymację, toteż ogólnie uchodził za zmarłego. Żona wniosła o uznanie go za zmarłego i uzyskała poświadczenie śmierci. Na tej podstawie wyszła drugi raz zamąż. Z tego małżeństwa urodziło się następnie dwoje dzieci. Po dłuższem leczeniu w szpitalach rosyjskich Wasylów, jakby cudem został uratowany. Gdy zebrał jakąś sumę na drogę do kraju, został po drodze obrabowany. Na domiar nieszczęścia wplątany został w aferę zabójstwa i dopiero po kilku latach niewinność jego wyszła na jaw. Ze zmartwienia i złego odżywiania znowu zachorował i blisko rok pozostawał w szpitalu. Po upływie kilku lat zebrał jakiś kapitalik, by mieć na powrót do kraju. W drodze konie się spłoszyły, Wasylów silnie kontuzjonowany dostaje się do szpitala, gdzie przebył 10 miesięcy. Znowu kilka lat ciężkiej pracy, poczem z ciężkim trudem dostaje się do domu. Po drodze snuł rozmaite plany co do niespodziewanej radości zobaczenia się z żoną i trojgiem własnych dzieci. Gdy wszedł do mieszkania własnego, w pierwszej chwili nie poznano go. Gdy wyjawił, kim jest, rodzina ze strachu zaczęła mu się bacznie przyglądać Gdy dowiedział się o tem, że żona w międzyczasie wyszła za mąż, był bliski obłędu i usiłował popełnić samobójstwo. Z trudem go odratowano. Obecnie wdrożono postępowanie celem unieważnienia drugiego małżeństwa.

Rzeź na weselu. W Kęczynie, pod Częstochową, w mieszkaniu Ludwika Bednarskiego odbywało się wesele, na które przybyła licznie młodzież wiejska. W pewnej chwili na tle sporu o tancerkę wywiązała się sprzeczka, której rezultaty były tragiczne. Awanturę wywołali bracia Jan, Stefan i Leon Zielińscy. Rzucili się oni na niejakiego Bednarczyka, którego poranili bagnetami. Kiedy w obronie poranionego stanął 40-letni Władysław Tynglich, awanturnicy zadali mu cios w serce, wskutek czego ten ostatni padł trupem na miejscu. Córka Tynglicha, 15-letnia Marja, widząc tragiczną śmierć

ojca swego, rzuciła się na jego zwłoki i wydobyła tkwiący w piersiach sztylet i raniła mordercę, poczem usiłowała sama pozbawić się życia. Na miejscu zabawy powstała formalna rzeź. Na polu walki legły jeszcze trzy trupy i kilkunastu rannych. Dopiero zaalarmowana policja, która przybiegła na miejsce bijatyki, zlikwidowała krwawe wesele. Wszyscy uczestnicy wesela zostali aresztowani. Między rannymi znajduje się również jedna osoba z odgryzionym nosem.

Potrójne morderstwo. W składzie fortepianów firmy Grzegorzewskiego w Łodzi, znajdującej się w najruchliwszym punkcie miasta przy ul. Piotrkowskiej znaleziono w ohydny sposób zamordowanych właścicieli tego zakładu małżonków Tyszerów. W sąsiednim pokoju znajdowała się kasa ogniotrwała, w której było 50 tysięcy zł. jednak kasa została nietknięta. Wedle dotychczasowego śledztwa złoczyńcy prawdopodobnie zostali spłoszeni i wskutek tego nie zdążyli rozpruć kasy. Jednocześnie na krańcach miasta znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety. Jak się później okazało, zamordowana była służącą Tyszerów i prawdopodobnie złoczyńcy, którzy byli w zmowie z nią, dla zatarcia śladów zbrodni i usunięcia świadka zamordowali służącą.

Wielka afera poborowa. Policja łódzka wykryła wielką aferę poborową, w którą wmieszany jest szereg niższych funkcjonarjuszy wojskowych i cywilnych P.K.U. w Łodzi. Mianowicie na podstawie ścisłej obserwacji, roztoczonej nad 200 poborowymi, których uwolniono od służby wojskowej w roku zeszłym, ustalono, że 40 z tych rzekomo niezdolnych do służby wojskowej znajduje się w najlepszem zdrowiu. a szczegółowe badanie lekarskie stwierdziło, że wszyscy oni nadają się do najcięższej nawet służby w wojsku. Wobec tego aresztowano ich. W śledztwie przyznali się oni, że istotnie zostali zwolnieni za wysokiemi opłatami. które składali bandzie aferzystów, trudniącej się zawodowo uwalnianiem poborowych od służby wojskowej. Na czele tej bandy stał znany kupiec i właściciel domu handlowego Cerejski, którego w pierwszym rzędzie aresztowano. Miał on wspólników i pomocników, którzy również znaleźli się pod kluczem. W aferę zamieszany jest także jeden z lekarzy wojskowych. Władze prowadzą energiczne śledztwo.

Schwytanie niebezpiecznych szpiegów. W ręce władz polskich na Górnym Śląsku dostał się poszukiwany już od 1926 roku osobnik, podejrzany o uprawianie szpiegostwa na rzecz Niemiec. Razem z nim aresztowano dwu innych szpiegów, którzy stali na usługach niemieckich placówek wywiadowczych we Wrocławiu, Gliwicach, Bytomiu i Zabrzu. Jak wykazało śledztwo, aresztowani, poza szpiegostwem wojskowem i politycznem, mieli oni prowadzić akcję dywersyjną na terenie województwa śląskiego i na ten cel otrzymywali potrzebne środki, oraz ścisłe instrukcje z niemieckich placówek wywiadowczych. Między innemi mieli oni za zadanie uprowadzić do Niemiec przemocą lub przy użyciu narkotyków kilka osób z Górnego Śląska, które następnie miano w Niemczech aresztować. Ponadto śledztwo ujawniło, że aresztowani osobnicy mieli polecenie zniszczenia pomnika powstańców śląskich w jednej miejscowości województwa śląskiego. Aresztowanych przekazano do dyspozycji prokuratury w Mysłowicach.

„Ja nie umarłem!“ Przed kilku dniami, w szpitalu starozakonnych na Czystem w Warszawie, zmarł pacjent, zapisany jako Chaskiel Rotter. Przywieźli go w stanie ciężkim krewniacy z Łagowa (pow. opatowski). Onegdaj rano miał się odbyć pogrzeb. Smutna ta uroczystość była zakłócona niezwykłym incydentem. Do kancelarji szpitalnej wpadł jak bomba młody mężczyzna, złapał jednego z urzędników za klapę marynarki i zawołał:

— Proszę wstrzymać pogrzeb. Ja jestem prawdziwy Chaskiel Rotter z Łagowa i nie pozwolę na takie żarty!

Flegmatyczny urzędnik odpowiedział:

— Mam polecenie zajęcia się pogrzebem Chaskiela Rottera. Jeżeli pan nim jesteś, to spocznij pan tymczasem na ławce. Za pół godziny przedsiębiorca wywiezie pana na cmentarz. Interesant, blady jak kreda, wybiegł z kancelarji. Po chwili wrócił z dzielnicowym. Sprawdzono papiery, obejrzano dokładnie nieboszczyka. Okazało się, że zmarł nie Chaskicl Rotter, lecz inny mieszkaniec Łagowa, Icek Mangarten. Dowcipni krewniacy, nie chcąc płacić rachunku za kurację, umieścili go w szpitalu pod nazwiskiem sąsiada. Sensacyjne odkrycie doprowadziło autentycznego Rottera do pasji. Zażądał spisania protokołu i wniósł skargę na ród Mangartenów. Pogrzeb odbył się z kilkugodzinnem opóźnieniem.

Plaga wilków na Wileńszczyźnie. Według danych statystycznych starostwa święciańskiego, w przeciągu ostatnich dwóch tygodni wilki na terenie jednej tylko gminy Komajskiej rozszarpały 10 koni. Wielkie stada wilków, węszące w pobliżu osiedli, steroryzowały wprost ludność, która obawia się, szczególnie w nocy, wychodzić w pole. Urząd gminy organizuje wielką obławę na wilki. Między innemi zwrócono się do sąsiednich gmin z prośłą o wezwanie tamtejszych myśliwych do udziału w obławie. Również w powiecie wilejskim coraz częściej powtarzające się napady wilków stały się plagą, szczególniej w gminie orańskiej. W jednej tylko wsi Podbaranie, w przeciągu tygodnia, wilki porwały 7 owiec. Notowane są nawet wypadki napadów na ludzi. Ludność miejscowa, nie mogąc sama dać sobie rady, uchwaliła zwrócić się do starostwa z prośbą o zorganizowanie obławy.

Przytułki nocne w Moskwie. W największych stolicach Europy, w Londynie, Paryżu, Moskwie i innych, które przejezdnego na głównych zwłaszcza ulicach olśniewają przepychem wspaniałych gmachów, pałaców, pomników z marmuru i bronzu, obok niezmiernych bogactw przemysłowców, bankierów i wysokich dostojników, obok dostatków tysięcy ludzi mniej majętnych, gnieździ się także rozpaczliwe ubóstwo i nędza szczególnie w tym raju bolszewickim, w Moskwie.



Niejednokrotnie zdarza się czytać przerażające opisy takich zaułków ostatecznej nędzy wielkomiejskiej, gdzie na noc gromadzą się setki bezdomnych nędzarzy, z których jedni doszli do niej przez lekkomyślność i pijaństwo, drudzy przez brak pracy, inni znów przez jakieś straszne nieszczęścia. Obrazek nasz przedstawia jeden z nocnych przytułków nędzarzy i rozbitków życiowych w Moskwie.

Sztuczne ucho dla głuchych. Ciekawego wynalazku dokonał w ostatnich czasach inżynier Suchorzyński, Polak, stale mieszkający w Niemczech. Skonstruo-

wał on mianowicie „sztuczne ucho“. Jest to niewielki aparacik, umożliwiający rozróżnianie dźwięków przez osoby, które utraciły słuch. Ciekawe jest pochodzenie tego wynalazku. Syn inż. Suchorzyńskiego, będąc żołnierzem armji niemieckiej w czasie wielkiej wojny, wskutek kontuzji otrzymanej na froncie utracił zupełnie słuch. Leczenie okazało się bezskuteczne. Wówczas ojciec inwalidy postanowił poświęcić całą swoją wiedzę do skonstruowania aparatu, któryby choć częściowo ulżył cierpieniom syna. Wynikiem mozolnej pracy było stworzenie „sztucznego ucha“, dzięki któremu syn inżyniera Suchorzyńskiego podobno odzyskał słuch.

Chrzest córki rabina. Sensacją dnia we Wrocławiu jest zamierzony chrzest córki tamtejszego rabina Vogelsteina. Panna Vogelstein, słuchaczka filozofji uniwersytetu wrocławskiego, zakochała się w swoim koledze chrześcijaninie, zaręczyła się z nim i mimo wszelkich perswazyj ze strony rodziny, postanowiła przejść na łono kościoła rzymsko-katolickiego, pragnąc poślubić swego obiubieńca. Rabin Vogelstein złamany tą decyzją córki, złożył swój urząd na ręce gminy żydowskiej, która jednak decyzji nie przyjęła. Chrzest panny Vogelstein, znanej piękności wrocławskiej, odbędzie się w tych dniach w katedrze.

Chłopi mordują komunistów. Władze sowieckie wywłaszczyły włościanom na Ukrainie 190.000 hektarów ziemi w celach zorganizowania komun rolnych. Utworzone w ten sposób komuny rolne nie będą podlegały rządowi charkowskiemu ale związkowemu. Jest to zrobione w tym celu, aby rząd sowiecki mógł bezpośrednio dysponować zbożem produkowanem w owych komunach. Ludność odnosi się wrogo do tej działalności. Pisma sowieckie donoszą, że w okolicach Połtawy włościanie pobili współpracownika gazety „Bolszewik Połtawszyzny“ Szyndryka za to, że prowadził wśród chłopów agitację za zakładaniem komun rolnych. W okręgu Artemjowskim tłum włościan napadł na korespondenta pism sowieckich Bałajewa i pobił go do utraty przytomności. W okręgu czernihowskim zamordowano prezesa sowietu miejskiego Romanenkę.

Groźna banda. „Wieczernaja Moskwa“ donosi o aresztowaniu członków bandy niejakiego Meleszkiewicza, który był przez dłuższy czas postrachem ludności przedmieść moskiewskich. Banda działała przeważnie w Sokolnikach, dokonywując w biały dzień zbrojnych napadów na przechodniów. Przywódca bandy, 27-letni Meleszkiewicz, używał pseudonimu „Harry Peel“. Pseudonimem bandyta ten podpisywał pokwitowania, które doręczał osobom obrabowanym. Za okazaniem tego pokwitowania bandyci zwalniali od powtórnego obrabowania osoby, które przedtem trafiły już raz do ich rąk. Aresztowanie członków bandy nastąpiło po dłuższej walce między milicją sowiecką a bandytami. Jeden z bandytów zginął w tej walce, a trzech urzędników milicji raniono.

Nowe cuda w Lourdes. Gazety donoszą o nowych uzdrowieniach w Lourdes. Lekarze po zbadaniu sprawy orzekli, że naturalnym sposobem nie można wytłumaczyć wyzdrowienia Lizzi Ainney ze Sheffield, chorej na płuca, Williama Anfrey, młodego Anglika, uleczonego z ciężkich skrzywień kostnych, John Woodala z epilepsji, 22-letniej Hiszpanki Felicity Belauzavian z zapalenia mózgu, 36-letniej Belgijki Aliny de Raud z chronicznej choroby jelit. Uleczenia te więc są dziełem Najśw. Marji Panny z Lourdes i stwierdzają fakt, że i dzisiaj Bóg w sposób nadzwyczajny, cudowny, przychodzi z pomocą ludziom nieszczęśliwym, którym pomoc ludzka jest niewystarczająca.

250.000 franków za znaczek pocztowy. Pewien filatelista w Gotemborgu, w Szwecji, zapłacił 250 tysięcy franków za znaczek pocztowy z podobizną króla szwedzkiego, wydany w r. 1855. Olbrzymia wartość tego znaczka 3 groszowego polega na tem, iż jest zupełnym unikatem. Mianowicie został przez omyłkę wydrukowany w kolorze żółtym, zamiast blado-zielonym. Przed czterdziestu laty znalazł go jakiś student w korespondencji swojej babki i sprzedał go za siedm koron szwedzkich. Potem znaczek przechodził rozmaite koleje, aż wreszcie wylądował znowu w Szwecji za wyżej wymienioną cenę. Miarodajne czynniki wyrażają nadzieję, iż będzie on ostatecznie figurował w muzeum pocztowem w Sztokholmie.

Koronacja cesarza Japonji. Koronacja cesarza Japonji odbyła się, w myśl programu, w sobotę, 10 listopada, w pałacu cesarskim w Tokio. Złożyły się na nią dwa obrzędy: pierwszy dokonany w wielkiej sali audjencjonalnej zbudowanej z cyprysowego drzewa i zdobionej kaflami. Pośrodku sali jest sanktuarjum bogini słońca, od której, wedle legendy, rodzina cesarska pochodzi. Na jej ołtarzu znajdowała się wierna kopja zwierciadła, jakie bogini dała przodkom cesarza. Rodzina cesarska, wszyscy dygnitarze, szlachta, ciało dyplomatyczne zajęli miejsca dokoła sanktuarjum. Straż honorową tworzyły dwa szeregi gwardzistów, odzianych w stroje starożytne i trzymających łuki ze strzałami, włócznie i starożytne szable. Obok nich stał szereg kapłanów, którzy mieli bębny i gongi; uderzeniami w te instrumenty zapowiadali przybycie mikada z małżonką. Ponieważ cesarz japoński uważany jest za głowę religji, więc sam w stosunku do siebie pełnił obrzędy kapłana. Przybywszy do sanktuarjum, skłonił się głęboko przed zwierciadłem, poczem padł przed ołtarzem i, obcując z duchami przodków, oświadczył im, że wstąpił na tron. Zagrzmiały gongi i bębny i monarchowie wyszli, a dygnitarze i rodzina cesarska padli przed bóstwem na kolana. Religijna część uroczystości była skończona. Popołudniu tego samego dnia w sali tronowej pałacu cesarskim odbył się obrzęd nawskróś świecki uroczystości koronacyjnej.

W lwich pazurach. Wspaniały ten drapieżnik, słusznie zwany królem pustyni, nie lubi, gdy obcy przybysz znajdzie się na jego ziemi. Są jednak ludzie, których największą przyjemnością jest urządzać na tych drapieżników najniebezpieczniejsze wyprawy dla zdobycia ich wspaniałych skór. Wyprawę taką czasem śmiałkowie i życiem przepłacają. Na taką to wyprawę wybrał się pewien angielski kapitan okrętowy.



Przybywszy na wybrzeża południowo-zachodniej Afryki, udał się w towarzystwie dwóch tubylców w zapadłe wnętrze kraju, gdzie został napadnięty przez trzy lwy. Zrzuciły one kapitana z konia i w okamgnieniu rozdarły go. Towarzyszący mu tubylcy uciekli szczęśliwie. Tak przypłacił śmiałek swoją wyprawę na tych drapieżników.

RZECZY CIEKAWE.

Kraj uroczych kobiet.

Opinję najpiękniejszych kobiet posiadają Meksykanki, wśród nich najbardziej uroczemi są rzekomo mieszkanki Guadalahary. Rozpisuje się o nich jeden z podróżnych, który niedawno temu wrócił z Meksyku.

Guadalahara ma słusznie opinję miasta najbardziej uroczych kobiet. Około południa, kiedy miejska orkiestra wygrywa na Piazza i popoł., kiedy odbywa się nad jeziorem Agua Azul (Błękitna woda) korso automobilowe, Guadalahara prezentuje wykwint swych cór, które obcych wprawiają w zachwyt.

Wszystkie te seniory i seniority pozostają wierne tradycjom swych babek i pogardzają nowymi wybrykami mody. Sukienki sięgają do kostek, bujne włosy spięte na głowie, puder znajduje tylko dyskretne zastosowanie.

Tym sposobem damy zachowują wygląd starohiszpański. Prawie wszystkie mają suknie czarne i zawoje czarne na włosach. Czarne są oczy i włosy, profile o dystyngowanych linjach prostych rysują się na arystokratycznej bieli twarzy. Wdzięk wrodzony jest im właściwy.

Tylko Wenecjanki pomiędzy kobietami rasy romańskiej i zapewne także kobiety w Chilji mogłyby z kobietami w Guadalahara współzawodniczyć.

W sztuce kokietowania ustępują oczywiście pierwszeństwo innym. Wierne starej tradycji hiszpańskiej trzymają się zasady, że kobiecie tem bardziej do twarzy im dyskretniej zachowuje się na ulicy. Sprzeciwia się dobrym obyczajom w Guadalahara, jeżeli młoda kobieta pokazuje się na ulicy sama. Conajmniej towarzyszyć jej winna służąca.

Dlatego młodych mężczyzn utrzymuje się w pewnym dystansie i flirt połączony jest z trudnościami.

Widziałem parkę, stanowiącą całość bardzo symetryczną. Niestety młodą dziewczynę chroniły kraty w oknie jej pokoju od zbyt gorących wyznań miłosnych.

Może być, że w Guadalahara poczyniono doświadczenia nakazujące ogledność i ostrożność.

Panienki w Guadalahara potrafią ocenić należycie swą urodę i chronić ją umiejętnie.

Idealne więzienie.

W Ameryce powstało więzienie bez żadnych ograniczeń wolności uwięzionych, z którego po 20 latach istnienia umknęło zaledwie 8 więźniów. Sukces to niebywały, wykazujący, że i zbrodniczość, jak każdą chorobę umysłową, można leczyć odpowiednimi sposobami i środkami, a sztuka polega na tem, aby umieć uderzyć w odpowiednie klawisze psychiki. Twórcą tego więzienia jest idealista i zarazem człowiek czynu, mjr. Wiliam I. Hanna.

Urzeczywistnienie tego, jak się zdawało, niewykonalnego zamiaru napotykało początkowo na wiele trudności, wynikłych ze sceptyzmu czynników miarodajnych. Wreszcie po długich dyskusjach i zawziętych walkach, mjr. Wiliam Hanna zakupił obszary nieużytków w okolicy Toronto i po mozolnych trudach i zabiegach udało mu się uzyskać od rządu pozwolenie na osiedlenie tam najpierw 400, a potem 120 więźniów z zakładów karnych w Toronto.

Przy pomocy tych wykolejeńców wykarczował lasy i założył t. zw. „Guelph-Farm“. Praca jego dała zdumiewające wyniki. Prerja kanadyjska, zamieniła się w urodzajne, wzorowo uprawne pola i olbrzymie sady, pełne uginających się pod ciężarem owoców drzew. Opodal widać wieże naftowe, koło których uwijają się robotnicy, ożywieni ideą pracy i poruczonymi im obowiązkami. Cudowna ta przemiana była owocem wytrwałej pracy skazańców, byłych złodziei, oszustów a nawet morderców.

Jak dobrze pod względem moralnym i fizycznym czuli się więźniowie na farmie mr. Hanny, świadczy fakt, że w ciągu 20 lat jej istnienia uciekło zaledwie 8-miu skazańców. A trzeba zważyć, że to najoryginalniejsze z więzień nie posiada ani straży, ani zamków, ani żadnych zabezpieczeń, ograniczających wolność osobistą.

Więźniowie ubrani są w zwyczajne stroje robotnicze, nie noszą ubioru więziennego, który piętnuje zbrodniarza i poniża jego godność osobistą, ani też nie goli się im głów, co zazwyczaj cechuje więźniów i stanowi szyderczą koronę przestępcy.

Na obydwu farmach mr. Hanny znajduje się zaledwie 24 urzędników, spełniających kierownicze funkcje administracyjne. Wszystkie inne czynności, nawet administracyjno-biurowej natury, spełniają przestępcy sami, ku zupełnemu zadowoleniu swych przełożonych. Ludzie ci mają wspólne sypialnie, urządzone w myśl najnowszych wymogów higjeny, własne szpitale i świątynie. Dobry przykład działa tutaj istotnie cuda.

Zdarzają się jednak wypadki, że w kadry więźniów wkradnie się niepoprawny przestępca. Wówczas sami towarzysze biorą na siebie zadanie poprawy takiego upartego wykolejeńca. Zazwyczaj usiłowania te uwieńczone są pomyślnym rezultatem i więźniowie opuszczają farmę jako ludzie moralnie zdrowi, zdolni do zarobkowania na swój i społeczeństwa pożytek.

Mr. Hanna może być dumny z wyników swej pracy i realizacji swego, jak się zdawało, fantastycznego projektu. Z parjasów uczynił ludzi prawych, pożytecznych, a wszystko to zdziałało dobre serce, kierujące się szczerem umiłowaniem ludzkości.

Cukier z chleba świętojańskiego.

Człowiek poszukuje ciągle nowych i coraz lepszych surowców dla swego przemysłu. Obok trzciny cukrowej, burak, dzięki długoletniej kulturze, stał się drugim surowcem dla przemysłu cukrowniczego. Oddawna zwrócono uwagę na chleb świętojański, który zarasta wybrzeże morza Śródziemnego i wydaje owoce, zawierające 20—25 proc. sacharozy (cukru trzcinowego), to jest więcej niż burak i trzcina cukrowa. Nie można było jednak dotychczas zastosować tej cennej rośliny w przemyśle, gdyż nie znano sposobu wydobycia sacharozy z tkanki rośliny. — Obecnie prof. Oddo z uniwersytetu w Palermo zgłosił w Towarzystwie chemji przemysłowej swój wynalazek, który rozwiązuje dotychczasowe trudności. Jako rozpuszczalnika używa się w tym wypadku alkoholu etylowego bądź metylowego, analogicznie jak przy wydobywaniu tłuszczów i olejów roślinnych. Aparatura jest bardzo prosta, a cukier można po łatwem oczyszczeniu odrazu używać. Tego samego rozpuszczalnika można też używać przy fabrykacji cukru z buraka. Kto wie, czy wynalazek prof. Oddo nie spowoduje rewolucji w tej dziedzinie przemysłu chemicznego?

Idjota.

Ciekawe bywają nieraz koleje, jakiemi chodzi mowa ludzka. Wyraz „idjota“ jest pochodzenia grec-

kiego. „Idiot“, znaczy właściwie „człowiek prywatny“.

Później imieniem tem nazywano nieświadomych, nieuświadomionych aż wreszcie przeszło do znaczenia: „niespełna rozumu“. Dziś używa się tego wyrazu, zwłaszcza u nas na porządku dziennym, bez najmniejszego zastanowienia się.

Grzyby żyjące na wosku.

Ostatnio wykryte zostały grzyby, żyjące na wosku.

Organizmy te wykrył znany badacz niemiecki Molisch w czasie swojej podróży po Japonji. Żyją one na pewnych gatunkach bambusów. Pozatem znalazł Molisch podobne grzyby także na gałęziach klonu. Grzyby te, przeszczepione na czysty wosk pszczeli, rozwijały się na nim doskonale, co potwierdza wniosek, że grzybom tym sam wyłącznie wosk wystarcza zupełnie do życia.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Stanisław Kwiatkowski** w O.: Obrazek z Nru 45 „Roli“ pt. „Sąd doraźny“ przeczytaliśmy jeszcze raz jak najuważniej i nie możemy się domyśleć, w czem Pan dopatrzył się pornografji. Bo to, że chłop babę nabił, nie jest jeszcze pornografją. Nie podoba się też Panu obrazek do tego artykuliku. Dlaczego, również nie wiemy, gdyż kobieta odrysowana na tym obrazku jest znacznie przyzwoiciej ubrana, aniżeli nasze panie miastowe. Wprawdzie ma sukienkę poza kolana tak, jak panie miastowe, ale też ma i całe rękawy, których tym paniom często brak, ma nadto cały przód dokumentnie zakryty i nic jej na wierzchu pod brodą nie wisi. Więc i stroju takiego nie można nazwać pornograficznym. Nie podoba się również Panu, że ilustrujemy zdarzenia tragiczne. Oczywiście wolelibyśmy, żeby ich nie było, ale cóż kiedy są i będą, a celem ich obrzydzenia i my musimy podobiznę tych zdarzeń zamieszczać. — **Fr. Woźniak:** Niestety, jeszcze nie nadaje się do druku. W wierszu musi być rytm i rym, a gdy tego niema, wiersz nie jest poezją. Żądane numera z II, III i IV kwartału 1927 r. prześlemy. — **Stefan Ski** w W.: Owszem ma Pan niezaprzeczony talent i łatwość rymowania. Gdy tylko miejsce się znajdzie, chętnie zamieścimy. Za tak miłe dla nas słowa uznania i zrozumienia ciężkiej naszej pracy serdecznie jesteśmy wdzięczni. Choć nie zawsze wszystko się nam uda, lecz zawsze mamy jak najlepsze chęci, aby wszystkich czytelników zadowolić. — **Władysław Bienias:** Za artykulik dziękujemy; będzie w przyszłym numerze. — **Piotr Wenc** w S.: Zagadki i myśli nadeszły; pójdą kolejno. — **Maryla „Widz“** w O.: Dziękujemy za karteczkę ze Lwowa. Jużeśmy myśleli, że się Pani na nas pogniewała i cały dzień spać nie mogliśmy. Przesyłamy wszyscy piękne ukłony. — **Józef Frasik** w K.: Wierszyki miłe, więc schowaliśmy je do teczki z przeznaczeniem do druku. — **Wagnerówna** w Szcz.: Za życzliwość dla nas serdecznie jesteśmy wdzięczni. Gdyby wszyscy czytelnicy i czytelniczki takimi byli, oddychalibyśmy z ulgą. — **Stanisława Zaleska** w D.: Pisze Pani, że kocha Pani „Rolę“ i jej redaktora. No chwała Bogu, że choć jedna na świecie, bo myślałem, że jest gorzej. Bo dziś ludzie darzą ludzi miłością dla ich urody, pieniędzy, zręczności lub za coś w tym rodzaju, ale żeby ktoś pokochał za jego pracę, za jego trud dla dobra bliźnich, toć się to prawie nigdy nie zdarza. Owszem za pracę można się spotkać nawet z nienawiścią innych. Miałem na sobie smutny tego przykład. Oto przed dwoma laty starałem się o należącą mi się zresztą posadę i nie dostałem jej jedynie dlatego, żem się ośmielił być redaktorem i pracować dla dobra społeczeństwa. A przeszkodzili mi w otrzymaniu wspomnianej posady właśnie ci, którzy powinni byli być dumni z mojej pracy i całą siłą ją popierać. Wzięła u nich górę niska zazdrość nad sprawiedliwością. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Zbędne numera prosimy użyć na reklamę; brakujące prześlemy wkrótce. W samej Kleczy Górnej nie prenumeruje nikt „Roli“. Prosimy o poparcie. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy Pana.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Fr. Swarzyna z S. G.).

■ ☆ ☆ ☆ Waga kupca.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Nędza.
■ ☆ ☆ ☆ Wyspa we Włoszech.
■ ☆ ☆ ☆ Obniżenie choroby.
■ ☆ ☆ ☆ Moc, potęga.
■ ☆ ☆ ☆ Papieros.
■ ☆ ☆ ☆ Wyspa Ameryki.
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Niemczech.
■ ☆ ☆ ☆ Pokój.
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka na Węgrzech.
■ ☆ ☆ ☆ Służy krawcom.
■ ☆ ☆ ☆ Naczynie.
■ ☆ ☆ ☆ Ogólna cyfra.
■ ☆ ☆ ☆ Napój.
■ ☆ ☆ ☆ Narzędzie na wsi.
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka na Śląsku Cz.

Litery pierwsze z góry na dół dadzą generała polskiego.

2. Arytmograf.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

3	2	9	**1**	2	4	10	Góry.
3	2	9	**2**	11	12	13	Broń.
3	7	13	**3**	14	9	15	Współubieganie się
1	7	9	**4**	9	5	4	Fotografja.
1	2	9	**3**	2	13	10	Ogrodzenia.
3	2	16	**5**	4	2	13	Imię męskie.
3	9	17	**6**	7	18	2	Monarchini.
8	7	9	**6**	12	19	5	Miasto w Małop.
3	7	6	**7**	13	16	2	Miasto w Niemcz.
8	5	7	**8**	9	2	20	Badaczziemi.
21	2	9	**2**	4	7	13	Utwór Ulejskiego.

Na miejsca liczb wstawić odpowiednie litery. Środkowy rząd pionowy da ważną chwilę pokojową.

3. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Drugi pół trzeciej tępiciel grzyba,
Pierwsza i trzecia dziadowski instrument
Trzecia i druga w terminie płacimy [bywa,
Całość co chwila przed sobą widzimy.
Ma ją i „Rola“, cztery na całość pomieści,
W panu zaś Bzdurze aż sześć ich się
[zmieści.

II.

Mówi druga czwarta, że pierwszy na ciele
Miała Polska drugie trzecie, obronne i wiele
W dowód tego służy druga i trzecia i
[czwarta,
Również w matematyce bardzo dużo warta
Całość często na końcu numeru widzimy
Gdy prenumeratę rzetelnie płacimy.

III.

Pierwsza litera druga napój zdrowy,
Druga trzecia znany gospodyniom sprzęt
[domowy.
Całość, częścią całości zawsze być musi,
Pomyśl i rozwiąż bo nagroda kusi.

4. Łamigłówki.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

Przez „p“ pachnie cudnie w lecie.
Przez „d“ nieraz człeka gniecie.
Przez „w“ niektóre wzbierają.
Przez „s“ praczki używają.
Przez „m“ różne wymyślają.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 grudnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 46 „Roli“: 1. Arytgmogryf: „Niech żyje niepodległa Polska!“ 2. Szarady: Serce, stolica, słońce, jarmarki. 3. Przestawianki: Pokorne cielę dwie krowy ssie. Nie taki djabeł, jak go malują. Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. Co oczy nie widzą, to sercu nie żal. Doczeka się świeczka wieczoru.

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłał tylko p. Alfons Czader z S. W. i jemu przypada nagroda w udziale.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Moda.

— Za kogo pani wydaje córkę?

— Za kupca, który ma siedmdziesiąt pięć lat.

— Co? Siedmdziesiąt pięć lat? i nie wstyd to pani?

— Chyba pani żartuje? A czy to antyki dziś nie w modzie?



Przebiegły.

— Papuś, ach! jak jabym chciał być na twojem miejscu...

— No, to coby z tego, Leosz, przyszło?

— To jabym dał zaraz parę złotych Leoszowi.

* * *

Walek: Cóż, jesteś zadowolony ze swej żony?

Jasiek: Poprostu szczęśliwy.

Uważasz, żyjemy ze sobą jak synogarlice; ta tylko różnica, że ona zamiast „cukru“ woła — „pieniędzy“.

W restauracji.

Kelner! Czy po tej kiełbasie nie będę rżał, jak koń, albo szczekał, jak pies?

— A czy pan kwiczał kiedy po zjedzeniu kiełbasy wieprzowej?



Rzecz prosta.

Żona: Mężu, mężu, znowu wracasz z winiarni do domu?

Mąż: Moja droga, przecież nie mogę tam ciągle siedzieć.



Już zrobili interes.

Mały Srulek: Tatele, daj mi dziesięć groszów.

Tatele: Pocoć ciebie dziesięć groszów?

Srulek: Na ulicy stoi żebrak. Chcę mu dać pięć.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 listopada b. r.

Pszenica .	46·50—47·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto .	36·00—37·00	Ziemniaki stoł.	8·00— 8·50
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	33·00—35·00	Mąka żytnia	50·00—50·50
Fasola biała	00·00 – 00·00	Mąka pszen.	75·00—77·00
Groch zwyk.	60·00 – 65·00	Otręby pszen.	28·00—28·50
Siano słodk.	27·00—29·00	Mąka czerw.	33·00—34·00
Koniczpastew.	34·00—36·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 16 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·53 zł.	Jałownik	od 0·87 do 1·50 zł.
Woły . .	od 1·02 do 1·53 zł.	Cielęta .	od 1·30 do 2·16 zł.
Krowy .	od 0·75 do 1·25 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·50 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·20 do 3.05